



ZESZYT TRZYNASTY.

ROKNIK SZÓSTY.

SZCZĘŚCIE KOBIECE.

POWIEŚĆ

JANA ZACHARIASIEWICZA.

(CIAĞ DALSZY)



Wioska ta, w samej rozpadlinie gór Beskidu, składała się z pięciu chałup włościańskich, trocha pola, którego się nigdy nie orąło, i lasu, do którego znikąd nie było żadnego przystępu. Jedynym dochodem była góra skalista, w której łupano kamienie i obrabiano dla młynów.

Wioska miała coś długu małoletnich, można więc było za tysiąc lub dwa tysiące przyjść do dziedzictwa pięknego nieba, cudownego widoku i owsianego chleba.

Burski przyzwyczajony był do owsianego chleba, a to, czego łaknął, miał teraz de jure i de facto. Był dziedzicem wioski.

Już samo poczucie takiej krajowej godności zbliżyło go więcej do córki. Zdawało mu się, że jest rozumny, że zna się na różnych rzeczach, o których dawniej nie miał wyobrażenia, że nawet może śmiało mówić z córką o astronomii i medycynie.

Tego wszystkiego przybyło mu nagle z tytułem dziedzica dóbr ziemskich. Była to najwyższa godność w kraju podówczas, bo urządowanie nie było w modzie z różnych przyczyn, a pola dla innych zasług wcale nie było.

To poczucie odbiło się na całej jego powierzchowności. Spowaźniał, skóra na nim zbielała, twarz przybrała wyraz człowieka, przed którym każdy chłop z drogi zazwyczaj ustępuje.

Pięć chałup włościańskich i kawał nieużytego lasu zrobili tę nagłą metamorfozę w czasie tak krótkim, że tobys z dawnych znajomych Burskiego teraz ujrzał, nie byłby od razu do niego przemówił, bo nie byłby pewny, czy to on, czy jaki brat jego młodszy.

Przyczyniło się w części do tego nieustające towarzystwo Olgi. Olga umiała zręcznie wiele rzeczy ojcu podsunąć, tak że je uważał sumiennie za swoje. A raz je przywłaszczywszy, budował już dalej na danym gruncie, i nie zdumiewał się wcale, jeżeli spostrzegł, że wie o rzeczach, o których dawniej nie miał najmniejszego wyobrażenia.

W ten sposób odbywał się powoli ale nieustannie proces wzajemnego zbliżania się ojca do córki i córki do ojca, i z wolna wyrównywała się przestrzeń, która dawniej dzieliła ich od siebie.

Był to dziwnie piękny widok, jak młoda nauczycielka w sposób delikatny wprowadzała ojca na drogi jemu zupełnie nieznanne. Często po południu zamiast odpoczynku czytała z książek głośno, a Burski słuchał z powagą, że wszystko wie i rozumie. Nie obyło się jednak bez objaśnień ze strony córki, które Burski, aby ojcowskiej powagi nie stracił, przyjmował tylko jako sprostowanie chwilowej i przypadkowej pomyłki, która, jak zwykł mawiać, przy

kłopotach gospodarskich i Salomonowi mogłaby się wydarzyć. Olga w takim razie utwierdzała ojca w tem mniemaniu o sobie i jego zapasach mózgowych.

Również i w zewnętrznym życiu dawała ojcu niewidocznie niektóre wskazówki, z których także zawsze korzystał, chociaż je za zbytne uważał. Był jednak staranny w ubiorze, a mianowicie przestrzegał ulubionej przez Olę czystości. Wdrażał się także powoli do skromnego komfortu i zaniechał już dawnego twierdzenia, że potrawa w prostym garnku tak samo smakuje, jak na saskiej porcelanie.

Saskiej porcelany nie było wprawdzie w całym dworze, ale była jakaś biała imitacja, która jej miejsce zastępowała i obiadek skromny Burskiemu przyjemniała.

Po trzech miesiącach takiej nauki miał już Burski młodego urodzonego dziedzica dóbr ziemskich, każdy Rusin ustępował mu się z wąskiej drożyny, choćby i w rowie na chwilę się ulokować, a żydek w restauracji najbliższego miasteczka słuchał z uniżoną cierpliwością wymyślań jego, że pieczeń mało krucha, a masło w naleśnikach nie bardzo świeże.

Było z tem dobrze i ojcu i córce. Ojciec pozornie prawie zrównał się z córką, a córka widocznie zbliżyła się do ojca. Związek krwi był teraz nanowo zacieśniony między nimi, który dawniej wychowanie Olgi znacznie rozluźnowało. Nikt teraz nie mógł już patrząc na nich, zapytać, czy to ojciec czy sługa, każdy poznał od razu stopień pokrewieństwa.

Podczas tej pracy, aby ojca do siebie zbliżyć, przebywała Olga silne wzruszenia, które ją na dalsze burze życia tak samo wychowywały, jak ona wychowywała ojca.

Myśl, z którą z pałacu wyjechała, nie opuszczała jej przez czas długi. Jej piękna i czysta dusza wierzyła, że to, co się stało, stało się dla jej dobra, za dobrą wolą tych, którzy ją kochali. Nie umiała nikogo podejrzewać, wierzyła wszystkim, którzy z uśmiechem do niej przychodzili.

Idealistycznego kierunku wychowanie roztoczyło przed nią świat pełen uroków i cudów. Potwory i przepaście życia pokryły się przed jej okiem; nie widząc ich, nie miała o nich żadnego wyobrażenia.

Kierunek taki prowadził wprost do szczęścia, jeżeli tylko to szczęście nie chciało przed nią uciekać. A gdyby rzeczywiście uciekło?.. Na to nie miała jeszcze odpowiedzi, bo nie wierzyła, aby to stać się mogło.

Gdy jej ojciec wyjazd z pałacu w sposób tak nagły zaproponował, zaraz ułożył się w jej idealnej głowce cały obraz nowej sytuacji. Kochała Edmunda całą duszą, Edmund dawał jej dowody takiego samego uczucia, cóż więc stało na drodze do ich szczęścia? Czyż to kogo dziwić mogło, że dwoje ludzi kocha się, że potem z sobą przy ołtarzu przyklekują? W idealnej jej głowie nie mogło

się pomieścić, aby to w żaden sposób być nie mogło. Nieraz czytała o tem w książkach, a nawet słyszała z opowiadania. Najtrudniej według niej było, zakochać się i być wzajem kochaną. Gdyby to nastąpiło, reszta była już tylko prostą konsekwencją. Różnica położenia nie była u niej zbyt wielką przeszkodą, tem bardziej, że była kobietą, a dla kobiety młodej, pięknej, wykształconej i do tego adorowanej nie ma żadnych granic towarzyskich, którychby jej przekroczyć nie było wolno.

Tak ją zastała katastrofa wyjazdu z pałacu. Wy tłumaczyła ją sobie w ten sposób, że w pałacu wiedzano o jej miłości dla Edmunda, ale chciano tę miłość tak poprowadzić, aby różnorodnym wymaganiom i uprzedzeniom towarzyskim zadość uczynić. Wzięła to za wygórowaną wyrozumiałość, że jej nie o tem nie powiedziano. Nie chciano zapewne zadraskać jej uczuć delikatnych, nie chciano jej dać poznać, że w takim stanie, w jakim była przedtem, nie mogła zająć prostą drogą do swego szczęścia, bo były pewne szkopy, których zakochani wprawdzie nie widzą, ale które mimoto obejść trzeba, jeżeli się nie chce na nich potknąć.

Edmund byłby niezawodnie poszedł tą prostą drogą do szczęścia, bo sam o tem o szarej godzinie przy cytrze jej mówił, ale musiałyby zawsze poza jej plecyma stoczyć małą walkę z rodziną, która zazwyczaj podobne rzeczy mocno i niemiłosiernie kontroluje.

W pałacu chciano to wszystko usunąć, chciano jej i ojcu dać stosowniejszą pozycją i tym sposobem wyrównać nieco tę przepaść, która Edmunda od niej przedzielać mogła.

Tak wytłumaczyła sobie dotacją ojca i wierzyła całą duszą, że inaczej być nie może. Wierzyła, bo ludzi kochała i nie mogła w żaden sposób posądzać ich o złe zamiary, jeżeli tych złych zamiarów dotąd dopatrzeć nie mogła.

Tak idealny pogląd na nową, dzisiejszą sytuację dodał jej siłę i rozwinął w niej pewną energią życia, jaką daje niezachwiana wiara w ludzkie.

Opuszczając pałac była wesołą jak dziecko, przed którym rodzice ukryli przyjemną niespodziankę, ale ono odgadło ją i w duszy z niej się raduje.

Niewygody w podróży, zmniejszenie obszerniejszych niegdyś potrzeb życia nie popsulo jej wcale humoru. Rózkoszne marzenia biegły przed nią, patrzyła na nie okiem jasnym i wesołym, i budowała najcudniejsze zamki na lodzie.

Gdy w jakimś małym, górskim miasteczku na niejaki czas się zatrzymali, gdzie Burski zasięgał różnych informacji co do nabycia jakiegoś mająteczku, umiała wyobraźnią swoją przerobić małe pokoiki gospody w pyszne pałacy i zaludnić je najwytworniejszymi rzeczami.

Tak zdążyła do tego białego dworcu, do tych dóbr w miniatorowym formacie. Pogodne niebo, cudowna oko-

lica rozjaśniała jeszcze więcej jej umysł, i tak już ożywionej duszy dodała jeszcze więcej życia.

Prędko urządziła domek i małe gospodarstwo swoje, a potem zastosowała do niego i siebie. Jedwabne, ogoniaste suknie, zrobione dla damy karetovej, schowała w najciemniejszy kąt szafy, a siebie ubrała w krótką, prostą ale gustowną sukienkę.

I było teraz coś zupełnie idylicznego w jej całej postaci. Okrągły, ryżowy kapelusik ocieniał jej twarz świeżą i tak delikatnego kolorytu, jak obrazek akwarelowy. Błado zielona bluzka, spięta w pasie jaśniejszym paskiem, robiła ją podobną do leśnej rusałki.

Gdy już w dworku wszystko było w porządku, wtedy siadła do małego stolika i zaczęła pisać list długi i szeroki. Białe jej czoło przybrało wyraz napięcia, szafirowe oczy ożywiły się jaśniejszym blaskiem i zwolna posuwały się z jednej linii na drugą.

Olga pisała teraz do Adelaidy.

List do przyjaciółki, do towarzyszki lat najmłodszych, wymagał wprawdzie wielkiej uwagi, ale może znowu nie takiej, z jaką pisała Olga.

Zdaje się, że ten list miał inne przeznaczenie. Adelaidzie należało się coś napisać, ale przytem należało się także coś Edmundowi.

Do Edmunda wprost pisać nie wypada, ale serce mówiło jej wyraźnie, że Adelaida da swój list Edmundowi do przeczytania. Inaczej nie mogło być, bo ona na miejscu Adelaidy zrobiłaby to samo.

List ten więc był już z góry przeznaczony dla Adelaidy i — dla Edmunda.

W tym więc liście było wiele, bardzo wiele rzeczy. Był najprzód krótko streszczony dzienniczek podróży, w którym próbowała nawet autorka humoru i dowcipu. Potem następował opis dworka i okolicy, do czego załączony został rysunek, piórem zrobiony naprędce jakby ilustracja listu, przedstawiający biały dworek, dwie ściany gór rosłych lasem i świecący w jarze potok górski. Dalej opisała całe urządzenie domku, rozkład pokoików, stół, na którym leży cytra, i stoliczek do malowania. Nawiasowo wsunęło się westchnienie za fortepianem, ale potem temu westchnieniu nadano zwrot żartobliwy, że tu muzyki sztucznej nie potrzeba, gdyż cała natura grała tutaj po mistrzowsku.

Dało to jej sposobność napisać coś o dziwnych tonach wiatru, poruszającego iglaste lasy na górze i wciskającego się z jękiem w szczeliny okien i drzwi, lub huczącego w kominie.

Potem następował opis małego gospodarstwa, które się składało z trzech krów, kilkunastu owiec i jednej kozy, której poświęcono nie mały ustęp, a nawet uczczono kilkoma wierszami Szymonowicza.

O ogródku był ustęp smutny i rzewny, bo ogródka

nie można tak prędko urządzić, jak się urządza pokoiki lub spiżarkę, o której także nie zapomniano.

O ptakach śpiewających było także kilka smutnych wierszy, bo tych tutaj wcale nie było, a nawet i trzpiotliwa sroka zatrzymała się na linii, do której sięgają topole. Za to opisała po artystowsku sępy i orły, a nawet narysowała je, jak z rozpiętymi skrzydłami, z głową ku ziemi spuszczoną, rzucając się na upatrzoną zdobycz.

Nie przepomniała także i o kotku białym, który gdzieś z chaty włościańskiej zbiegłszy stanął u niej na służbę.

Jeszcze więcej innych rzeczy było w tym liście, a nawet wspomnienia o pałacu, o grze na cytrze, o przechadzkach pod altaną i różnych, różnych minionych roskoszach.

List ten odczytała Olga kilka razy, zapieczętowała i przez górala odesłała do najbliższego miasteczka.

Obliczyła sobie, że najdalej za tydzień otrzyma odpowiedź.

Przez ten cały tydzień stała przy oknie i patrzyła na białą smugę nieba pomiędzy górami ku zachodowi, którądy według jej mniemania miał nadejść list od Adelaidy albo...

Nie, listu nie spodziewała się od Edmunda, ale spodziewała się troszkę, troszkę, że sam przyjedzie.

Artystowska jej wyobraźnia dawała jej już naprzd obraz tego przybycia. Naturalnie, że nie mógł i nie powinien przyjechać prozaicznym wózkiem, otulony bundą, w czapce zasadzonej na uszy. Przedstawiała go sobie schodzącego ku niej tam z drożyny górskiej, ze zgiętymi jak góral nogami, w kapeluszu z zieloną wstęgą i piórkiem, ze strzelbą na ramieniu. Tak szukała go po wszystkich białych smugach, po wszystkich stokach i skałach.

Ale fantastyczny myśliwy nie przychodził. Za to przyszedł list od Adelaidy.

Z szkarłatem na twarzy, drżącymi rękami i sercem gwałtownie bijącym rozerwała pieczętkę, przebiegła szafirowymi oczami raz... drugi... trzeci, a twarz jej rozogniona bladła powoli i zastygała w biały, nieruchomy marmur.

Cóż było tak niepomyślnego w tym liście?

Nic nie było. Adelaida pisała jej wiele, donosiła o różnych rzeczach potocznych, o szukaniu monogramów Rubensów i Rafaelów, o deszczu i pogodzie, ale o Edmundzie nie było ani słówka.

Czyż nie można było zblednąć przeczytawszy list taki?

O Edmundzie ani słówka! Czy to być może? Czy Adelaida mogłaby być tak roztrzepaną? Nie, to być wcale nie może, Edmund to może był główny cel listu, miałaby Adelaida go pominąć?..

I tak roskosznie bijące dotąd serce uczuło pierwsze kurczowe ściśnienie, które dla niego było tak złowrogą

zapowiedzią! Czyż to być może? O Edmundzie ani słówka!

Olga trzymała list kilka godzin przed sobą, ale od dwóch godzin już go wcale nie widziała. Jakaś szara przestrzeń roztaczała się przed nią, a w tej przestrzeni było tyle, tyle bolesnych obrazów!.. Ani słówka!

Nad wieczorem odetchnęła wolniej i rzekła sobie:

Edmund zapewne namówił Adelaidę, aby o nim zamilczała, a on tymczasem chce mi zrobić niespodziankę.

I oczy Olgi zabłyśły znowu dawnym blaskiem. Zanuciła pioskę wesołą, aż kotek się zbudził i przeciągnął, aż koza przysłała do okna i ręce jej polizała.

Nazajutrz rano patrzyła znowu Olga na białą smugę nieba między górami, którą słońce na noc do snu się kładło, bo tam spodziewała się ujrzeć kogoś, jeżeli już nie ze strzelbą na ramieniu, to choćby na wózku górskim w bundzie zawiniętego...

Ale na białej smudze nieba nie było nikogo.

Minał jeden tydzień i drugi.

On mnie kocha — mówiła do siebie przykładając rękę do serca — on mnie kocha, bo ja to czuję. Tylko coś go zaskoczyło... mój Boże, w życiu tyle jest przeszkód! Jutro, pojutrze przyjedzie... niezawodnie przyjedzie.

Pojutrze nie przyjechał Edmund.

Może chory... ale nie, w takim razie Adelaida napisałaby... niezawodnieby napisała! Ona mnie tak dobrze życzy.

Olga napisała drugi list do Adelaidy.

List był smutny, trochę ponury, ale w gruncie była wiara niczem niezachwiana. Wspomniała nawet w tym liście coś o Edmundzie, ale zdaleka — bo serce kobiety z zazdrością chowa swoje tajemnice, chociażby te tajemnice były głośne.

Adelaida po jakimś czasie odpowiedziała jej, ale o Edmundzie znowu nic a nic nie było. Widocznie teraz zapomniała, bo powinna była odpowiedzieć.

Ale to tylko roztrzepanie ze strony Adelaidy — mówiła do siebie — Edmund mnie kocha, czuję to, tylko jakaś przeszkoda...

Drugi miesiąc mijał, gdy Olga ze swoją służącą do miasteczka się wybrała, aby na poczcie osobiście zasięgnąć niektórych informacyj.

W miasteczku był właśnie targ. Mieszkańcy z okolicznych dworów zjeżdżali się zazwyczaj w dniu takim, aby się z sobą widzieć i po skończonych interesach o różnych nowinach pomówić.

Do nowin tych należał teraz Burski i Olga. Wiadomość o amatorze skał i cudnych widoków, ale nie chleba, rozeszła się po całym górskim powiecie, a gdy Olę kilka razy ujrzano, która w tym zaniedbanym ustroniu istnym zjawiskiem była, tak się nią zajęto, że kilku najrzutniejszych kawalerów póty nie spało i nie grało w karty, póki się coś o nowych przybyszach nie dowiedziano.

Dowiedziano się niestety trochę z tego, o czym także w okolicach pałacu głośno mówiono. Wszystko nie doszło tutaj, śnać duch opiekuńczy biednej sieroty stanął na górskich przesmykach i grubszych dodatków tej historii nie dopuścił.

Służąca Olgi, która w gospodzie na nią czekała, słyszała rozmowę zgromadzonych tamże gości targowych, którzy nawet od niej czegoś dowiedzieć się chcieli.

Przywiązana służąca nie miała nic pilniejszego, jak tylko to wszystko swojej pani powtórzyć.

Olga więc dowiedziała się w krótkich słowach, że familia Edmunda nie była rada jego zamysłem, i chcąc to udaremnić, wyprawiła ją z ojcem w daleką stronę.

Wiadomość ta padła młyńskim kamieniem na jej serce, i zdawało się, że je rozmiażdży.

Przebiegła szybko myślą wszystkie drobne zagadki, których dotąd rozwiązać nie mogła, i o dziwo — wszystko teraz było jasne jak słońce.

Zacisnęła zęby, aby przed służącą nie zdradzić swego usposobienia, i milczała przez całą drogę jak posąg kamienny.

Zaledwie do swojej izdebki zdążyła, rzuciła się na łóżko, i gorący strumień łez wytrysnął z jej oczu.

Po łzach zrobiło się łzej, odetchnęła pełną piersią.

Było to pierwsze, wielkie rozczarowanie, jakie ją w życiu spotkało. Wszystko inne było tylko ukłuciem szpilki, to było więcej niżeli gromem z nieba.

Nic nie mogła myśleć, bo mózg odmówił funkcji. Nie wiedziała, co się dalej dzieje.

W takim oszołomieniu przebyła aż do wieczora. Poźnym wieczorem przyszedł Burski, który zwiedzał kamieniołomy. Był zmęczony, zażądał małego posiłku, i wkrótce udał się na spoczynek, skarżąc się na dziwny ból w głowie połączony z pewną nieokreśloną trwogą.

Olga nic mu powiedzieć nie mogła, bo sama jeszcze nic nie wiedziała. Jeszcze nie była w stanie myśleć nad sobą. Powiedziała tylko ojcu, gdy ją pytał, dla czego oczy ma tak dziwnie krwią nabiegłe, że chłodny wiatr prawdopodobnie jej zaszkodził.

Gdy wszyscy w domu spać się pokładli, poczuła się Olga samą, i dopiero mogła myśli zebrać razem.

Straszne, okropne rzeczy otwierały się przed nią. Wszystkie jej marzenia, które w duszy wypieściła, były to tylko fata morgana, które dzisiaj wiatr miał rozwiązać na wszystkie cztery części świata!.. Przy tej myśli uczuła, że coś ją objęło wkoło, coś zimnego i brzydkiego, jak kościste ramiona śmierci lub całun grobu!..

Wzdrygnęła się, jakby chciała strząść z siebie oślizłe zwoje Laokoöńskich węzów, ale łuskowate pierścienie nie osunęły się, tylko tem bardziej się zacisły. Chciała wzniesć pierś głębokim oddechem, aby te żelazne pierścienie pękły i opadły, ale pierś jej wzniesć się nie mogła.

Poświęcono mnie dla widoków familii! — jęka pod ciężarem tej zmory — rzucono mnie w przepaść, aby ktoś inny mógł tą ścieżką przejść bez przeszkody!..

I drobne rączki zacisnęły się i podniosły do góry, jakby cały świat do walki wyzwąć chciały...

I za to rzucono mi kiesę z pieniędzmi, aby mnie wynagrodzić za stratę marzeń moich!... Nie, to okropnie... to być nie może... ja nie mogę tutaj oddychać... mnie tu brak powietrza... bo to powietrze kupione za te pieniądze. Precz z tem powietrzem zapłaconom... precz z srebrnikami judaszowemi... idę do ojca... zbudzę go... i dziś... dziś jeszcze niech opuści to miejsce, a pieniądze niech odda!..

I wybiegła z rozpuszczonemi włosami, z nocną lampką w ręku, i zmierzyla wprost do izdebki ojca.

Cicho, na palcach zbliżyła się do łóżka, trzymając rękę z lampką do góry.

Burski leżał na łóżku i miał twarz czerwoną, krwią nabiegłą. Ustami robił poruszenia, jakby coś chciał mówić, a nie mógł. Wydawał tylko z siebie jakiś jęk głuchy, przyczem czoło jego marszczyło się nieustannie.

Olga chwilę patrzyła na ojca. Widziała, że pot kropłisty występuje mu na skronie, że we śnie z czemś się szamoce.

— Nie dam! — wyjąknął wreszcie — nie dam, weź życie! Życie weź... ale pieniędzy nie dam... czyż ja nie pan sobie teraz... a bez pieniędzy czem? Nie dam... prędzej życie... prędzej serce...

Olga zbliżyła ręce do skroni ojca, Burski obudził się nagle i siadł na łóżku.

— Co tu jest! Gwałtu, co tu jest? — zawołał ochrypłym głosem... czy to ty Oldziu?

— Ja ojcze — grobowym głosem odpowiedziała Olga.

Burski odetchnął całą pierśią i otarł pot z czoła.

— Czy chciałaś czego, moje dziecię? — zapytał po chwili.

— Słyszałam, żeś we śnie jęczał ojcze! — odpowiedziała.

— Dobrze zrobiłaś, żeś przyszła, bo miałem szpetny, strasznie szpetny sen!..

— Jakież to był sen?

— Śniło mi się, drogie dziecię... tylko się nie przestrasz... śniło mi się, że mi ktoś tę wioskę odebrał!... Wyobraź sobie mój przestrasz!.. Ale na szczęście był to sen tylko! Jeszcze czuję dreszcze po całym ciele! Podaj mi co cieplejszego do nakrycia. Brrr!

— Czyż to tak strasznie być bez wioski? — zapytała z gorączką na twarzy Olga, podpierając ręką głowę ojca.

— Co też ty mówisz! brrr! Przypominasz mi sen w całej brzydocie i okropności!.. Jam lat tyle wdychał do takiego kącika, gdziebym mógł powiedzieć, że jestem panem, jam nawet głośno marzeń moich nie śmiał wymówić, a kiedy Bóg dobrotliwy zesłał mi to szczęście przed grobem, ty

bluźnisz pytając, czy ta wioska jest nam potrzebna?... Mówię ci — odbierz mi dzisiaj ją, a umrę!

Bolesny kurcz przeszedł po ciele Olgi.

— Przecież jest tyle ludzi bez wioski! — rzekła z lodowatym uśmiechem.

— Czy chcesz mnie dobić — odfuknął Burski — ponieważ ten łotr we śnie nie mógł mnie zabić?

— Mogłabym własną pracą żywić ojca — mówiła dalej Olga.

Burski rzucił się na łóżku.

— Co ci do głowy dzisiaj przyszło? Powiadam ci, że umarłbym pierwej z głodu, niżeliby dziecko moje miało na mnie zarabiać! To gorzej, niż pić krew swoją.

— Ojcze! — zawołała z kurczowym płaczem Olga, kładąc głowę na pierś ojca.

Burski odsunął ją łagodnie od siebie.

— Idź spać, drogie dziecię, i nie chciej na jawie powtarzać mi tego, co mi się tak strasznie śniło! Wioska nasza nie wiele warta, zaledwie można mieć ciepłą strawę, ale mówię ci, że umarłbym wśród marcypanów, gdybym ją postradał! Czy ty wiesz, moje dziecię, czem byłem bez tej wioski? Czy chcesz, abym do tego powrócił?.. Nie, przenigdy! Pierwej grób mi tu wykop i żywcem rzuć mię do grobu, niżeli miałbym się cofnąć do tego Burskiego, którego już dawno zgubiłem za sobą!.. Idź spać, moje dziecię, i nie miej takich grzesznych myśli!

Rzekłszy to pocałował ją w czoło. Olga podniosła się i jak białe widmo oddaliła z wolna. Przywlokła się do swego pokoiku. Rzuciła się na łóżko, oparła ramiona o białą ścianę, a ręce zwiesiła bezwładnie do ziemi.

Siedziała tak długo, siedziała noc całą.

Gdy dzień już był biały, ubrała się i wyszła do ojca, który w drugim pokoju przechadzał się zamyślony.

Służąca przyniosła śniadanie. Olga usiadła przy stole i nalała ojcu kawy. Sama nic nie piła.

— Kawa mię trochę rozgrzewa — rzekł Burski — bo też sen dzisiejszy był tak brzydki, aż człowiek zlodowaciał od niego. Brrr! że to pan Bóg tak straszy czasem biednego człowieka!

Olga patrzyła lodowatym okiem przed siebie.

— Dla czego kawy nie pijesz? — mówił dalej Burski — wierzę, że taki sen może apetyt odebrać. Tylko trochę opowiedziałem go tobie, a już widać po twoich oczach, jak cię to przestraszyło. A cóż dopiero ja, który musiałem przechodzić we śnie wszystkie stopnie rozpacz?...

— Nie sądziłam, że można tak bardzo przywiązać się do marnych rzeczy — z wolna szepnęła Olga.

— Co mówisz, co mówisz! Czy chcesz mnie w ten sposób pocieszać? Czy myślisz, żebym przeżył tę chwilę, w której znowu musiałbym na ciebie patrzeć zdaleka i wypierać się, żeś ojcem twoim? Przecież dzisiaj mogę być z tobą razem, mogę się tobą cieszyć jak dzieckiem

mojem, i nikt nie zapyta z obcych, kto zacz jest ten człowiek stary obok tej dziewczicy? Nie bluźń, dziecię moje, i dziękuj Bogu, że tak pokierował losami naszymi!

Olga spuściła oczy w ziemię i siedziała martwa, jak piękny posąg z marmuru.

Burski skończył śniadanie, pocałował córkę w zimne czoło i odszedł do gospodarstwa zapowiadając, że przyjdzie dopiero wieczorem, gdyż idzie znowu do kamieniołomów, gdzie robi ugodę z kamieniarzem.

Olga siedziała tak długi czas. Potem wstała, zarzuciła chustkę i wysunęła się ogrodową furtką do lasu.

Dzień jasny raził jej oczy. Szukała ciemnej ustroni, bo w ciemnej było jej jakoś lżej. W jej duszy panowała ciemność, chciała także i ciemność mieć wkoło siebie.

W gęstym jarze usiadła na powalonem drzewie. Cisza była wkoło niej i ciemność grobowa. Tylko cieńki słupek światła przedzierał się pomiędzy gałęzie i padał pod jej stopy. W górze trzepotał skrzydłami jakiś ptak zabłąkany, a obok niej mruczał zdrój srebrny i powoli pomykał ku dolinie.

Olga oparła głowę na ręce i siedziała tak kilka godzin nieruchomie. Nic przed sobą nie widziała, nic nie słyszała. Nie spostrzegła nawet, że z ciemnych zarośli wysunął się zwolna wąż zielono centkowany, ostrożnie dookoła wypukłem okiem spojrział, i powoli poczołgał się do jej stóp, gdzie był biały płatek ciepłego słońca. Zwinął się na tym płątku tak misternie, że cały mógł się ogrzać. Jednym pierścieniem dotknął nawet szaty Olgi, bo nie sądził, aby to była jaka żyjąca istota. Olga nie widziała go wcale.

I po kilku godzinach zaczęła nagle jej twarz się rozjaśniać i nowego nabierać życia.

Coż było powodem tej dobroczynnej zmiany?

Trudno odgadnąć. Czy to było przywiązanie dziecka do ojca, że myśli jej jakiś pomyślniejszy obrót wzięły, aby go nie pozbawiać jego szczęścia? Czy to była owa, dzisiaj tak wysoko podnoszona „walka o byt“, którą każda żyjąca istota z największym wysileniem stoczyć musi, aby się uratować?

Przed duszą Olgi zaczęły teraz zwolna spadać na dół czarne myśli, któreby jej w żaden sposób żyć nie dały, a w ich miejsca wychylały się jaśniejsze, łagodniejsze.

Wyrządziłam ludziom krzywdę — mówiła w duchu do siebie — posądzając ich o tak brzydkie rzeczy. Ludzie nie są tak źli. Osądziłam ich fałszywie!

Po chwili mówiła znowu do siebie:

Jest rzeczą bardzo naturalną, że Edmund nie może ożenić się ze mną. Gdyby tylko nas dwoje było w jakiej

puszczy lub pomiędzy ludźmi zupełnie obcymi, mogłoby to być. Ale tak... byłabym ciężarem, kłopotem dla niego!

Westchnęła ciężko.

Świata nikt nie odmieni, on ma swoje przesady i uprzedzenia, a te prędzej czy później mogą zatruć życie. Edmund po pierwszym szale musiałyby walczyć z temi uprzedzeniami, a ja patrzyłabym na tę walkę... Nie, to być w żaden sposób nie mogło. Marzenia moje nie uwzględniały tego, co po nich nastąpić mogło. Ale ludzie dobrzy dojrzeni to i w sposób nader delikatny odsunęli to niebezpieczeństwo odemnie i od niego!... Wyrządziłam im krzywdę, myśląc tak czarno o nich!...

Twarz jej rozjaśniała się coraz więcej.

Cóż na tem tracę? — mówiła dalej do siebie — czyż Edmunda nie kocham całą duszą i całym sercem? Czyż on mimo naszego rozłączenia mógłby przestać mnie kochać? Nie, nigdy. Czuję, że mnie kocha, kocha jak dawniej, gdy mnie kwiatki podawał na wróżbę — bo miłości przecież niczem rozerwać nie można!... Być może, że kiedyś...

Tu urwała nagle.

Dla czegoż nie ma być miłość czysta, bez egoizmu? Dla czegoż nie mogę go kochać czystym sercem, czystą duszą, bez żadnych żądań z mej strony, jeśli on tak samo kochać mnie może?... A jeśli mimo to kiedy —

Znowu przerwała.

Nie jestem egoistką... dla czegoż takie żądanie? — Czyż ja mogę tego od niego żądać? Nie, nie żądam, i nie powinnam żądać. A jeśli się to kiedy stać mogło... Któż odpowiedzialny jest za to, co mu Bóg przeznaczy?

Takiem rozumowaniem uspokoiła trochę serce, które znowu zaczęło wracać do dawnej regularnej pulsacyi. Czuła, że te myśli ożywiają cały zdrtwiałły organizm, że pozwalają znowu widzieć świat boży przed sobą.

I dowodem tego było, że ujrzała teraz zmięję u nóg swoich, która głębszym oddechem jej piersi zbudzona, rozsunęła swoje pierścienie i spiesznie poczołgała się na dawne legowisko.

Olga patrzyła na uchodzące węża.

Tak niech odejdą odemnie wszystkie brzydkie myśli, któremi bliżnim swoim mogłabym krzywdę wyrządzić! — rzekła do siebie i powstała ożywiona prawie jak dawniej.

A gdy przed wieczorem Burski do domu wrócił, piękna idealistka zarzuciła mu na szyję białe ramiona.

— Pamiętaj ojczy — rzekła do niego — abyś dzisiaj nie śnił o czemś podobnem jak wczoraj! Ludzie są tak zacni i poczciwi, że nam nic złego zrobić nie mogą.

— Wierzę — odparł Burski — bo bez takiej wiary człowiek staje się złym i nieszczęśliwym.

(Ciąg dal. nast.)

OBRAZEK MYŚLIWSKI.

(Z NATURY.)

Opowiem, co i jak było;
(Rzecz to sama przez się pusta)
Niedawno się wydarzyło
Na samym schyłku Augusta.

Wałęsając się na koniach
Po stepach, jarach i błoniach,
(A ranek był gdyby letni)
Staś¹⁾ z Juliuszem niespodzianie
Zajechali na śniadanie
W gościnę do Oczeretni.

Djakowski²⁾, delikacik,
Jeszcze się guzdrał i ziewał,
Kaftanik z flaneli wdziewał,
W pantofle zasuwał nogi,
Mrucząc pod nosem pacierze;
I ledwie skończył niebogi
Ojczy nasz, i w Boga wierzę,
Ledwie szlafmycę z kutasem,
Spółniczkę spoczynku swego,
Zrzucił — aż mu huknie basem
Staś: „Życzem dnia dobrego!“
I z Juliuszem do komnaty
Wbiega — fajeczkę nakłada,
O szklankę prosi herbaty,
I zkąd jadą opowiada.

Cny gospodarz klasnął w dłonie,
Bąknął słudze coś, i basta.
Wnet, cudem, w pary obsłonie,
Otoczone wałem ciasta
Suną się z herbatą szklanki
Współ z garnuszkami śmietanki.

Młodość, zdrowie i swoboda,
Dzielne bodźce apetytu.
Natura krzepka i młoda
Strawiłaby kęs granitu;
Ztąd herbaty i śmietanki,
Podpłomyki, obwarzanki,
Lekkie andruty i bułki
Pochłonięte jak pigułki.
Potem gawęda swobodna,
Zajmująca i nie chłodna,

W obszerne zawarta koło,
Pobiegła sobie wesoło,
O, gorzelni, owsie, życie,
Zięblach, parach, sianożęciach,
O rolniczym chłopa bycie
I gospodarskich zajęciach.
Gdy tak sobie rozmawiali,
Dymem owiani fajeczki,
I herbatką zapijali
Dykteryjki i ploteczki,
Wszedł, jak deus ex machina,
Staruszek czerstwy i żwawy,
Wesoła i sprytna mina,
Wzrok badawczy i ciekawy,
Nad tem wszystkim, nakształt rury,
Sterczał, dziwnej nos struktury,
Sączący, tabaczką syty,
Jakieś brudne stalaktyty.

Był to sławny ów Kamiński³⁾,
Właściciel główki nie lada,
Przed którym świat ukraiński
Ciekawości swej dań składa.
Gdy on mówi o Stambule,
Smyrnie, Brussie, Galipoli,
Gdzie ongi w swojej szkatule
Naskładał złota do woli;
Gdy się wymownie rozwodzi
Nad Partenopy⁴⁾ urokiem,
Gdzie w lazurnej fal powodzi
Promienistym toną okiem
Gwiazdy błękitów sklepienia
Śród balsamów i milczenia;
Gdy Wenecyi kreśli rysy,
Jej laguny, jej kanały,
Jej świątyń dumne zarisy,
Jej przeszłości gmach wspaniały,
I obecny stan niewoli,
I obecnej gorycz doli;
Gdy Pompei, Herkulanu
Maluje trafnie obrazy,
Kapitolu, Watykanu
Oświeca poezją głazy;
Gdy bazylikę Bramanta
Wydźwiga nad szczyty Romy

¹⁾ Tyszkiewicz, dziedzic Oczeretni na Ukrainie.

²⁾ Dzierżawca.

³⁾ Turysta, niegdyś bogaty, później zubożały, mieszkający na łasce Tyszkiewicza.

⁴⁾ Neapol.

I jakby pędzłem Rembrandta
Żywo kreśli jej ogromy:
Każdy pilnie daje ucha,
Czarem przedmiotu nęcony
I naracją zachwycony;
Każdy do końca wysłucha
Ciekawych jego powieści,
Różnobarwnej, żywej treści,
O tem, co się mu zdarzyło,
Co się nawet nie zdarzyło
Ale się tylko przysniło....

Powszechnie zwany Signor'em,
Bo władał mową Petrarka,
Wesołym słynął humorem,
W czem pomocną była starka.
Pierwszym był strzelcem do rudy,
I w kniei pierwszym do strzału,
A chociaż sobie, od nudy,
Flaszę wydudłał pomału,
Byle mignął zwier przed okiem,
Nie zadrzy żelazna ręka;
Strzał zahuczy, zwier przyklęka,
Stania się — i leży bokiem.

Takim był on — Dijakowski
Mile go arcy powitał,
Bąknął nawet wyraz włoski,
Co w jakiejś książce wyczytał.
Staś z Juliuszem wnet Signor'a
Osypali pytaniami:
Zkąd dziś jechał? gdzie był wczora?
I proponowali sami,
Szczęścia dnia tego spróbować
I knieję blizką spłować.

„Zgoda! zgoda!“ — Signor rzecze —
„Cudniejsza rzadko pogoda!
„Czy lis, czy wilk, nie ucieczel
„Chociem stary — ręka młoda.“

Wnet się porwali, skoczyli
Po strzelby, torby, ładunki,
W mgnieniu oka broń nabili,
Znieśli wszystkie moderunki.
Dijakowski siadł na szpaka,
Staś gniadosza łydką ściska,
Koń Juliusza nakształ ptaka
Rwie się, srebrnym chwostem błyska;
Wóz dźwigają cztery konie,
W nim Signor z swym nosem jechał,

Przy sobie położył bronie
I flaszę wziąć nie zaniechał.
Z tyłu dojeżdżacze z psami
I kilku szczwaczy z chartami,
Te na sforach, te na smyczy,
Biegną łakome zdobyczy.

Ruszyli, pobiegli zwawo,
Na pocztowy szlak wypadli,
Potem się rzucili w prawo,
I jarkiem kniei dopadli;
Tam, od siebie dosyć blisko
Wzięli swoje stanowisko:
Staś pod klonem rozłożystym
Zaczął się z lepażówką;
Juliusz, w zaroślu krzaczystem
Podobno z mortimerówką;
Dijakowski z flintą siedzi
W rowie i dokoła sledzi,
A Signor, strzelec wytrawny,
Rozwagą łowiecką sławny,
Więcej przychylny wygodzie,
Usadowił się na kłodzie,
Gdzie splotem gęstych warkoczy
Brzoza światłoienne mroczy.
Przy nim, na pniu, tabakierka,
Rękawiczek brudnych para,
Chustka do nosa, jak ścierka,
Czapica, porządnie stara,
Kawał szynki, szmat ozora,
Séra koziego kawałek
I partyka chleba spora
W jakiś związana szuszwalek. —
W rękę wierną strzelbę trzyma,
Uchem daleko przenika,
Bada kniei głęb oczyma,
A tymczasem sobie łyka.

Nagle, w dali róg zadzwoni,
Echo doliny odpowie;
Cyt!... już Lutnia głosem goni
W dalekim het! het! parowie.
Skomląc, z tropu w trop — na czele
Psów gromady ręczo bieży,
Szczekania i gwaru wiele,
Na ślad widać wpadła świeży.
I zagrał akord rozgłośny
Na różne zmiany i łady,
Dojeżdżacza głos donośny
Jednoczy się z psów rulady;
Trzaska harap, kipi knieja,
Coraz żywszy ruch pogoni

Łowców zagrzewa nadzieja,
I odwiedli kurki w dłoni.

Wtem się zarośla zachwiały,
Coraz bliższy szelest biegu:
Pilnuj! — krzyczą — gęste strzały
Z myśliwych lecą szeregu.
Pudło! — Staś opuścił nosa,
I Juliusz swego opuścił,
Dijakowski knie w półgłosa,
Że darmo nabój wypuścił;

Dzwonią rogi śmierć ofiary,
Dzwonią w cześć Signor'a chwały;
Echa dolin i parowów
Łączą się z akordem łowów;
Wiatr przeleciał — knieja cała
Szmerem liści zaszumiała,
I strumień zagwarzył w dali
Srebrnym dźwiękiem swojej fali.

Na swej kłodzie, w cieniu liści
Signor tymczasem spokojnie



KRAINA ŁODOWCÓW W WYSOKICH ALPACH.

(Obacz na stroniej następnjej.)

Aż tu, sarna, jedna, druga,
Lekkim się unoszą lotem —
Signor śledzi — okiem mruga,
Na cel bierze — bierze — potem
Palcem na cynglu pociśnie,
Huczny strzałem dwakroć błysnie,
I gdy się dymy rozbiegły,
Sarn nie stało — obie legły!

Tryumf! tryumf! — krzyki, gwary
Pochwalną nutą zabrzmiały;

Stępem strzelbę swoją czyści,
Kurki opuszcza po wojnie —
Skończył — położył dwururkę,
Stuknął trzykroć w tabakierkę,
Proszkiem każdą nosa dziurkę
Napchał — potem swoją ścierkę,
Nazwiskiem chustki uczczoną,
Plam tysiącem ozdobioną,
Rozwinął, kiej flagę jaką,
I dmuchnął z energią taką,
Jakby (według słów Juliusza)
Strzelił krater Wezuwiusza.

(Dok. nast.)

Kraina lodowców w Wysokich Alpach.

PRZEZ LUCYANA TATOMIRA.

Wysokie Alpy, poczynające się nad krainą hal czyli łąk alpejskich, na wysokości 8000' n. p. m., stanowią ostatnią, niebotyczną krainę tych najwyższych gór Europy, sięgających szczytami swymi nad 14000' n. p. m. Jestto martwa, zimna, biała ojczyzna wiecznych śniegów i lodowców, które szerokimi strumieniami brył lodowych i odtoku skalnego spuszczają się w kotliny i parowy, na grzbiety niższych gór, i zwisają brzemieniem lawin nad uroczemi dolinami alpejskimi. Wśród tego świata śniegów i lodów sterczą, jakoby wyspy pośród zamarniętych fal rozhukanego morza, już tylko nagie olbrzymy kamienne, czarne, ostre, prujące chmury cypliska i iglice, zjeżone głazami grzbiety szczytów i podłużne, strome, zębate, ściany skał.

Na wysokich Alpach bowiem, równie jak na wszystkich górach sięgających w granice wieczystego śniegu, nie pada śnieg prawie nigdy w płatkach, lecz zawsze w cieniutkich, zaledwie widzialnych igielkach, a w czasie odwilży pruszy pył śniegowy, podobny do mgły na dołach. Śnieg ten powyżej 8000' nie roztapia się już tutaj nigdy zupełnie, ale pod wpływem odmiennej temperatury w dzień i w nocy, szczególnie w miesiącach letnich, przeistacza się w drobne ziarnka, których śnieżne jądro powleka plewka lodu, a które nie dają się zbić w bryłę, i ujęte w rękę rozsypują się jak gruby piasek. Takito suchy, ziarnisty, sypki śnieg tworzy pola śniegowe najwyższych szczytów Alp, które Niemieczi ich mieszkańcy nazywają „Firn“, a Francuzi „Névé“. Ziarnka te śnieżne, usuwając się własną ciężkością z wyższych stoków na niższe, gdzie promienie słońca silniej działają, a przeto i różnice w temperaturze są znaczniejsze, obtapiają się wprawdzie więcej w dzień ciepłe, ale mrozy nocne ścinają je znowu, otaczają grubszą powłoką lodu i spajają w większe bryłki, wielkości śrótu, orzecha, jaja. Spadając coraz niżej i ulegając coraz większym zmianom temperatury, rosną one ciągle, twardnieją, lodowacieją, stają się coraz trudniejsze do zupełnego stopienia, tracą białość śniegu, a przybierają niebieskawą barwę lodu, aż w końcu urastają w ogromne bryły, złożone z warstw czystego lodu i napół zlodowaciałego śniegu, mniej lub więcej szczelnie ze sobą spojonych, które zawałają swem brzemieniem przepaściste doliny pomiędzy szczytami i zbijają się w lodowce, zesuujące się z nich wydłużonymi smugami przez wąwozy i parowy aż w dzielnicę hal i lasów.

Taki jest proces tworzenia się lodowców.

Lodowiec nie jest więc gładką szybą ścisłego i szklitego lodu, jaki mości podczas zimy nasze wody. Jestto przeciwnie chaotyczne zsepisko różnokształtnych brył i pły-

tów lodowych, podobne do rzek naszych, kiedy zerwawszy zimowe pęta, zniosą krą i zbiwszy ją w wysokie zatory, nagle ostrym mrozem wstrzymane zostaną w biegu. Ku środkowi wznoszą się lodowce w zaokrąglone garby, ku obu krawędziom zaś pochylają się mniej lub więcej spadzisto. Spadzistość tę powodują promienie słoneczne, które odbijając się od ścian dolin lodowców obtapiają więcej ich brzegi. Dlatego im węższy jest lodowiec, tembardziej strome są jego stoki, i dlatego stok północny, wystawiony na silniejsze działanie ciepła słonecznego, jest zawsze spadzistszy, niż południowy. Tylko lodowce ciągnące się z południa na północ, lub odwrotnie, mają oba stoki jednakowo pochylone.

Nierówność powierzchni lodowców alpejskich powiększają jeszcze sterczące na niektórych iglice lodowe, bryły kszają jeszcze sterczące na niektórych iglice lodowe, bryłkach te są miejscami ogromne płyty granitu, podobne do stołów o jednej nodze, i ztąd stołami lodowcowymi zwane. Prócz tego ciągną się wzdłuż obu brzegów wszystkich prawie lodowców smugi rumowiska, tak zwane „moreny“, które powstają z odtoku przyległych skał. Gdy się dwa lodowce, zsuwające się z rozwidlonych w górze parowów, w jedno łożysko wtłoczą, łączą się ich skrajne moreny w jeden szerszy smug środkowy.

Skutkiem niejednakowego stopnia ciepła i niejednakowej gęstości różnych warstw lodu, nie mogąc się oprzeć prężności zamkniętego pomiędzy niemi powietrza, pęka w gorące dni letnie z właściwym sobie przygluszonem hukiem skorupa lodowców i tworzą się w niej szczeliny, które z czasem rozrastają się do 60' i 120' głębokości, a do 100' szerokości. W te przepaście, których ściany, połyskujące jak szkło, mieniają się w różne odcienia najczystszej lazuru, spadają zwyczajnie w kaskadach wody ze stopionych śniegów, a czasem łączą przeciwne ich brzegi rzucone, jakoby mosty, łuki lodowe i ułatwiają niebezpieczną przez nie przeprawę.

Gdzie takich przepaścistych żłobów jest zamało, aby nimi spłynąć mogła wszystka woda, zbierająca się latem na powierzchni lodowców, tam wymula ona sobie głębokie lejki, mające często 30' średnicy, napełnia większe zakłęśności i kotliny, i tworzy stawki i sadzawki. Szukając sobie dalej dnem tych lejków ścieków i odpływów, wylizują te wody rynny i kanały w wnętrzościach lodowców, wydrążają w nich labirynty chodników i przebijając sobie wyjścia w ich dolnych kończynach, spływają potokami w doliny.

Dlatego u końca każdego lodowca otwierają się szerokie, czasem 50 do 100' czelustie, zwane wrotami

lodowcowemi, a pozwalające nie tylko zajrzeć, lecz owszem nawet zapuszczać się głęboko w ich tajemnicze wnętrza. Jeden z badaczy przyrody tego alpejskiego świata śniegów i lodów (Hugi) dotarł ćwierć mili w wnętrze lodowca Uraz, idąc chodnikami, których zwierciadlane lazurowe sklepienia wspierały się na takichże kolumnach. Pewien berneński góral, wpadłszy przypadkiem w głęboką szczelinę lodowca Finsteraarhorn, wędrował trzy mile podlodnymi kanałami, nim się nakoniec wydobył na światło dzienne z życiem wprawdzie, ale z połamanymi rękami. Mniej szczęśliwie powiodło się pewnemu Tyrolczykowi, który wpadł w lejek lodowca Ortels, gdyż dopiero po 15 latach wyrzuciła jego szkielet paszcza lodowca.

W gorące lata wieją często z bram lodowcowych gwałtowne zimne wiatry, miotające kurzawą śnieżną w doliny, zwyczajnie zaś ciągnie z nich prąd zimny dołem, podczas kiedy górą wciska się w nie cieplejsze powietrze i obtapiając ich sklepienia, wygładza je i rozszerza. W zimie zasklepiają się wrota lodowców, a nurtujące w ich wnętrznościach wody zamarzają, przyczem powiększa się ich objętość i rozsadza zamykające je ściany. Sprowadza to zimowe pęknięcie lodowców, które pomnaża liczbę utworzonych w nich latem szczelin i rozpadlin, i zmienia nieraz do niepoznania ich powierzchnię, wysadzając na wierzch całe góry lodu, wyrывая z posad i obalając nawet skały.

Grubość, długość i szerokość lodowców jest bardzo różna. W górze, u początków swoich, są cieńsze, w środku długości swojej grubieją od 400 — 600', a ku końcowi dolnemu obniżają się znowu do 160' i 100'. Milę długie, a pół mili szerokie należą do mniejszych. Większe ciągną się 6—8 mil w długość przy szerokości całej mili i więcej.

Z pół śnieżnych grupy gór **Mont Blanc** spływa ku północy i południowi 23 takich strumieni lodowcowych, a z Berneńskich Alp spuszcza się lodowce 17 ramionami w przyległe równiny. Wogóle w całych Alpach liczą w przybliżeniu do 600 lodowców, które razem wzięte zalegają obszar około 200 mil kwadratowych.

Zdalone widziane lodowce mają barwę niebieskawą lub zielonawą, nigdy białą. Jaśniejsze, lazurowe, połyskujące szczeliny i lejki i ciemniejsze iglice i bloki wywołują grę kolorów, odbijającą cudnie od czarnych skał i martwych, białych pól śniegowych. Gdy promienie słońca nad zachodem, przebijając się przez napełnione waporem powietrze, padają na szczyty Alp, nawodzą się ich pola śniegowe i lodowce światłem płomienistym, złocisto-różowym, któreto zjawisko, jedno z najwspanialszych w przyrodzie alpejskiej, nazywają płonieniem Alp.

Gdy się jest na lodowcu, doznaje się wrażenia grobowego spokoju. A jednakże liczne doświadczenia przekonywają, że lodowce alpejskie nie stoją, nie są bez ruchu, lecz przeciwnie płyną nieustannie jak rzeki, posuwają się

naprzód i naprzemian to rosną to maleją. Zасыpujące doliny alpejskie smugi odtoku skalnego, podobne zupełnie do moren na lodowcach, wielkie głazy narzutowe, spotykane tak często pośród najbujniejszych ich niw, a zniesione niewątpliwie ze szczytów granitowych Wysokich Alp, wygładzone ściany skał i tym podobne inne ślady, naprowadziły badaczy przyrody alpejskiej (Agassiz) na myśl, że niegdyś lodowce w Alpach nierównie dalej się rozpościerały, że zasypywały wszystkie ich doliny, wyciągając swoje ramiona aż w dolinę Padu i na wyżynę szwajcarsko-bawarską. Wówczas były całe Alpy istnem morzem lodów. Dzisiaj normalna granica ich najniższej zesuniętych lodowców (Unteraar) nie sięga niżej 4000' n. p. m.

Zdarza się jednak często, że lodowiec, przekraczając zwyczajne granice swoje, ryjąc przed sobą ziemię, usypując wysokie wały gruzu i niszcząc wszystko, co mu staje w drodze, podsuwa się aż pod progi mieszkań górali alpejskich, głęboko w doliny, i sprowadza wśród lata na kwitnące łąki i pola zawieje zimowe. Górale powiadają wtedy, że lodowiec rośnie. Zeszedłszy tak nisko w strefę ciepłą, nie może on się oczywiście oprzeć działaniu promieni słonecznych, topi się i spływa strumieniami białawej, jakoby z mlekiem zmieszanej wody. Ale ile go tu w dole ubywa, tyle dorabiają ciągle w górze śniegi i mrozy, i nieproszony ten i niepożądany gość wędruje powoli, nieznacznie coraz niżej. Bywają nieraz wypadki, że zagrożony rosącym lodowcem góral musi opuścić swoją zagrodę i oddać mu ją na pastwę; że obrywając owoce z drzew swego sadu, staje na lodowcu, aby wyżej dotrzeć. Ale też zdarza się często, że kiedy stroskany właściciel oczekuje już tylko chwili, w której ten straszny przybysz zmiecie jego zagrodę, lodowiec nagle wstrzymuje się w swoim niszczącym pochodzie, staje, owszem nawet cofa się wstecz. Pamiątką po jego pochodzie pozostaje długie czasy w miejscu pól i ogrodów straszna pustynia, zryta ziemia i zniesione na jego grzbiecie aż kędyś ze skalnych szczytów smugi gruzów i głazy. Zauważano (Forbes), że w pewnych latach lodowce alpejskie wogóle rosną, podczas gdy w innych z przyczyn nie docieczonych dotąd z apodyktyczną pewnością kurczą się i cofają ku górze. Zauważano także, że ruch ich jest nieustanny, ale szybkość pochodu różna, w różnych porach roku i w różnych częściach lodowca: większe w lecie i w częściach dolnych, a mniejsze w zimie i w górnych kończynach.

Ale więcej nierównie szkody od tej oscylacji lodowców zrzadzają mieszkańcom dolin alpejskich lawiny, których ojczyzną jest także kraina wysokich Alp, a których obrywanie się zostaje w związku z ruchem lodowców i z rewolucjami odbywającymi się w ich wnętrznościach.

Lawiny są dwojakie: śniegowe i lodowe. Pierwsze

powstają, gdy po świeżo spadłym śniegu nastąpi nagła odwilż, a więc najczęściej na wiosnę. Drugie strącają nagłe pęknięcia i zsuwania się lodowców. Gdy lodowiec w pochodzie swoim zawisnie nad stróym stokiem, albo gdy rozsadzające go zamrożone w zimie wody zbyt wysoko go podniosą, odrywają się olbrzymie bryły i spadają w doliny. Górale alpejscy, zżyci z przyrodą swych gór, znają miejsca, z których najczęściej zrywają się lawiny, i przewidują naprzód grożące niebezpieczeństwo. Z miejsc takich wynoszą się ludzie jak mogą najdalej; wiodące w pobliżu nich drogi i ścieżki prowadzą popod zwisającymi skałami, albo nawet kutymi umyślnie galeryami (galerya w **Vallone de la Névé**); zmuszeni przechodzić przez nie, strzegą się, żeby najmniejszej bryłki lodu lub śniegu nie stracić, żeby nawet powietrza niczem nie wstrząsnąć silniej, gdyż czasem jeden wystrzał wystarcza, aby się zerwały ze szczytu przygotowane już do spadnięcia lawiny. Ale pomimo tych wszystkich środków ostrożności zrzadzają lawiny w dolinach alpejskich ogromne spustoszenia. Spadająca lawina, tocząc się przez pola śniegowe, rośnie, porywa ze sobą wszystko, co spotka po drodze, przyspiesza ciągle swój pęd, aż w końcu z ogłuszającym grzmiotem spada jak piorun w dolinę, gdzie zasypuje czasem całe wsie. Poprzedza ją wściekły wichur, wywołany jej szalonym pędem, który toruje jej drogę, unosi jak żdźbła trawy całe szałasie i chaty, ścieli pomostem pod jej stopy całe szmaty borów.

A jednakże groźna ta ojczyzna lodowców i lawin, zsyłająca takie straszne spustoszenia w doliny alpejskie, nie jest bynajmniej bezużytecznym, a tem mniej wyłącznie szkodliwym czynnikiem w wielkim gospodarstwie przyrody. Czem są dla północno-wschodniej Europy zachodnie prądy wiatrów, sprowadzające z Atlantyku brzemienne deszczem chmury, czem są dla Ameryki południowej Kordyliery, a dla Indyj wschodnich Himalaje, tem jest dla krajów pod Alpami, owszem nawet dla całej południowo-zachodniej Europy kraina lodowców Wysokich Alp: olbrzymiem źródłowskim, które zasila wodą całą tę połąć kontynentu. Każdy lodowiec jest źródłem jakiejś rzeki; owe wrota lodowców i odpływające z nich mleczne potoki, to rodziciele Renu i Rodanu, i górnych źródłowych dopływów Padu i Dunaju. Gdyby nie było lodowców alpejskich, nie byłoby ani Renu, ani Rodanu, ani Dunaju ani Padu, a kwitnące doliny alpejskie i pod Alpami byłyby bezwodną pustynią. Tak, choć sama martwa, rozlewa kraina lodowców wysokich Alp życie dokoła.

Ale nawet i ona sama nie jest tak zupełnie pozbawioną życia, jakby z jej pól śniegowych, lodowców i lawin sądzić można. Dolna jej strefa, wkrawująca się w granice górnych hal, ma jeszcze w sierpniu kilkanaście dni lata, którego słabe tchnienie, niezdolne stopić nagromadzonych

tu lodów, rozbudza jednakże bodaj na chwilę twórcze siły przyrody. Toteż gdzie tylko na stromym stoku śnieg utrzymać się nie może i odkryje spłacheć wilgotnej, ziębniętej ziemi, zarunają ją zieleńce i mchy, z pomiędzy których podnoszą gdzieniegdzie skromne główki nawet rośliny jawnokwiatowe, właściwe strefie podbiegunowej archipelagu Spitzbergen. Małe te oazy zielone, rozrzucone po pustyni lodów i skał, które na Monte Rosa znajdowano jeszcze na wysokości 11.000', nazywają górale alpejscy ogródkami lodowcowymi. Ba nietylko uwolnioną z pod śniegu ziemię, lecz nawet same śniegi pokrywa drobniutki wodorost, zwany śniegiem czerwonym, i barwi je karmazynowo. Życie zwierzęce także tu nie zaumiera jeszcze ze szczętem. Pardwy halne i wrony śnieżne zalatują aż na najwyższe szczyty tej krainy. Nad onymi ogródkami polatują tuówdzie motyle, zachodzi na nie często zuchwała kozica z górnych hal. Po omszonych kamieniach biega długonogi pajak korsarz i poluje na drobne muszki i chrząszczyki, a nawet w szczelinach samych lodowców żyje maleńka pchlica lodowa. Dopiero powyżej 11.000' głuchną już i te słabe tętna życia, i wyjąwszy czarne iglice skał, zagrzebują wszystko suche, zamrożone śniegi, o które odbijają się bezwładne już promienie słoneczne.

Człowiek rzadko tylko dociera do tej krainy Wysokich Alp, gdyż leży ona już zupełnie poza obrębem jego materialnych potrzeb. Zapędza się tam chyba zapalony myśliwy ścigający kozicę, albo chciwy niezwykłych wrażeń turysta, albo nakoniec gnany żądzą nauki badacz przyrody. Bo też to rzecz niełatwa zmierzyć się oko w oko z tą przyrodą pełną grozy! Do szałasów na halach może się jeszcze podróżnik dostać na koniu góralskim lub na mule, wprawionym do drapania się po górach, którego ostrożności i pewności kroku powierzyć się może bezpiecznie. Ale dalej musi już iść pieszo z długim kijem, okutym ostrym żelazem, w ciżmach podkutych ostrymi goździami, aby mu się gdzie noga nie pośliznęła, musi sobie nieraz siekierą torować drogę przez zawały lodów, wdrapywać się po drabinach na prostopadłe ściany skał, spuszczać się na linwach w parowy, przechodzić brzegami bezdennych przepaści, gdzie jeden krok chybiony może przepłacić życiem, musi prócz tego walczyć z zimnem, ze znużeniem, które podwaja rzadsze o wiele na tych niebotycznych wyżynach powietrze, z zawrotem głowy, czasem nawet z zapaleniem ocz, które sprowadzają ostre wiatry i odbijanie się promieni słonecznych od śniegu, a nakoniec jeszcze często z lawinami, z kurzawą śnieżną i mgłami, tymi najstraszniejszymi i niezwykłymi wrogami podróżników alpejskich. Zdarza się nieraz, że strzelec lub turysta, zaskoczony mgłami, przesiedzi całą dobę i więcej na jakimś cyplisku, nie ważąc się ani wracać, ani iść dalej, szczęśliwy, jeżeli mgła opadnie, nim mu wyjdzie żywność; że lawiny zagrzebią całą

karawanę, jak przed niewiele laty ekspedycją angielską na Mont Blanc, z której dziesięciu członków jeden tylko ocalał.

Dlatego kraina lodowców wysokich Alp, pomimo dostępności ich dolin i łatwej stosunkowo przeprawy przez niższe ich grzbiety, była długo światem nieznanym. Badanie jej pod względem naukowym datuje się zaledwie od stu lat. Jeszcze około połowy przeszłego wieku prawił geograf Hager o smokach, gnieżdżących się na górze Pilatus, a szczyt św. Gotharda miano długo za najwyższy w Alpach. Dolinę Chamouny i grupę Mont Blanc odkryli dla geografii dopiero Anglicy w r. 1740. Dr. Paccard w r. 1756 wdarł się pierwszy aż na najwyższy

szczyt tego olbrzyma, a w roku następnym zwiedził go Saussure i wzbogacił ważnymi odkryciami wiadomości o Alpach i ich przyrodzie. Najwyższy szczyt Monte Rosa zwiedzili poraz pierwszy bracia Schlagintweity dopiero w r. 1855. Dzisiaj posiadamy już dokładne karty całej krainy alpejskiej, bogatą literaturę naukową o Alpach (Berlepsch, Studer, Desor, Weber, Tschudi, Hugi, Forbes, Agassiz), a jednak jest jeszcze kilka znaczniejszych szczytów nieziedzonych, i robią się tam do teraz jeszcze wyprawy w celu odkrycia i zbadania naukowego nieznanych ustronnych okolic, którym przychodzą w pomoc kluby alpejskie, pozawiazywane w Anglii (najpierwszy), w Szwajcaryi, Austrii i we Włoszech.

F I O Ł K I

NOWELLA.

NAPISAL

WŁADYSŁAW SZANSER (Ordon.)

(C I A G D A L S Z Y)

IV.

Od tego epizodu żaden równie ważny lub ważniejszy wypadek nie zamieszał jednostajnego życia willi. Raz jeszcze wprawdzie próbowała się dostać matka, przed którą hrabia uciekł; raz wdzierał się doktor i odjechał z niczem... Zresztą żadnego ważniejszego wypadku... Ach! myślę się, był wypadek... który stawał się powoli coraz ważniejszym zdarzeniem... wypadek ten znany był tylko hrabiemu. Nazwał się bukiet fiołków.

Od owego bukietu, który spadł w srogiej chwili do nóg hrabiemu, ten sam tajemniczy podarek powtórzył się nie raz... Codzień, niewidzialna, niedostrzeżona, niechwytna ręka o świcie lub wieczorem rzucała do pokoju hrabiego bukiet fiołków, bliźni dawniejszemu co do piękności i woni.

Z początku hrabia mało na to zwracał uwagi.

Powoli jednak systematyczność i tajemniczość podarku, tak odpowiadającego wspomnieniom i upodobaniu jego, poczęła budzić ciekawość jego i wyobraźnię... Zresztą tajemniczy ten dar wiązał się z najsroższą i niezapomnianą godziną w jego życiu.

Wchwili właśnie, kiedy broczył najczystsą krwią serca, kiedy czuł się sam, straszliwie sam na szerokim świecie, kwiaty te spadły jak tajemny znak jakiś współuczucia, jak świadectwo obecności żywej i myślącej o nim istoty; odezwały się w duszy jego jak głos przyjaciela, jak pociecha, wróżba. Byłażby to zapowiedź owego krótkiego szczęścia, obiecanego mu przez ojca we śnie, a w które najświęciej wierzył? Mogłoby to być istotnie? Oh

jakżeż słodko i posłusznie poddawała się dusza jego temu roskoszemu domysłowi! Ale parokszmy refleksyi trzeźwiły go i byłyby może całkiem wytrzeźwiły, gdyby nie niepojęte, systematyczne powtarzanie się podarku... Była to rzecz co najmniej osobliwa. Bronił się, ale słabo, tej cudowności wdzierającej się w jego życie. Sam zwalczał siebie i przekonywał, że tajemniczy dawca nic z nim ani ze stanem jego duszy mieć nie może wspólnego!... Lecz któż nim być może?...

W pierwszej chwili chciał dowiadywać się, badać; rzucił jednak natychmiast ten zamiar i postanowił na czas się zdać i nie myśleć. Tak mu było wygodniej, a zresztą ostatnia walka rozbiła zbyt i osłabiła siły jego ducha. Nie mógłby był myśleć, gdyby nawet chciał, a ściśle zbadawszy się, byłby się przekonał, że nawet wcale nie chciał: roztrąpione, zbolale serce jego z pociechą odpoczywało na tej tajemniczej ręce, przynoszącej mu codziennie wonne dzień dobry, a tak dyskretnej i cichej... Podarek ten zapożyczał jeszcze uroku od chwili, w której mu pierwszy raz się dostał. Była to chwila tak ciężka, i sądzić można było, że ktoś chciał go pocieszyć. Rzecz dziwna, myśl ta wniosła jakiś nowy żywioł w jego życie...

Czuąc, że idzie do grobu wielkimi krokami, począł bawić się jak dziecko światem i życiem, i każda drobnostka w tej zamkniętej i ściśniętej egzystencji jego przybierała wielkie rozmiary. Bukiet fiołków upieścił i obudził jego imaginację. I znowu myślał, że z dnia na dzień odkryje się tajemniczy dawca czy dawczyni, powodowani żądzą nagrody, lub wydani przez kogoś z sekretu. Przyobiecował już zawczasu

w myśli wdzięczność dobrym ludziom. Tymczasem milczał i przyjmował bukiet, jako odnawiającą się codzien niespodziankę, która, nie spostrzegając, jak mu w słodkie nawyknienie powoli przechodziła... Wśród tego oczekiwania przywykł zrywać się wcześniej i próbować, czy mu się nie uda uprzedzić bukiet, nigdy mu to dotąd nie udawało się... Spodziewał się tym sposobem sam pochwycić sekret. Tymczasem ani on, ani okoliczności, ani sekret sam siebie odkryć nie chciał....

Zajęcie to jednak wpływało w błogosławiony sposób na hrabiego. Przyjechał on do Reni i najął tę willę z zamiarem postawienia w niej swojego śmiertelnego łoża. Od owej pamiętnej rozmowy z bratem zamiar ten jego jeszcze się wzmocnił, a niestety nie trzeba było wielkiej woli, ażeby go zrealizować. Siły nieszczęśliwego hrabiego z każdym dniem niknęły. Schylił się już jak ścięta trawa, uwiadł jak egzotyczna roślina, jeszcze w całej świetności swojej budowy, ale coraz bledsza kolorem, coraz podobniejsza przezrystością i powietrzną do duszy swojej: woni. Spostrzegali to inni mieszkańcy willi, widział z boleścią i przerażeniem wierny sługa, w kąciku załamując ręce... Leczyć się i radzić sobie hrabia nie chciał, mówić o tem nie pozwalał... Zbyt pragnął śmierci, i zdawało mu się, że ma prawo opuścić się tak na boże ręce i czekać smutnego anioła, ze zgaszoną pochodnią...

Jakśmy jednak wyżej powiedzieli, bukiet fiołków począł wpływać na hrabiego w błogosławiony sposób.

Najprzód było to roztargnienie. Coś go poczęło wyrwać z tego marazmu, z tej sztucznej i zabójczej atmosfery komtemplacji i lubowania się w swoim bólu. Interesował się czemś. Powoli ciekawość stawała się coraz silniejszą. Poczęło się z nią łączyć dziwne jakieś, nieokreślone uczucie...

Hrabia, który dotychczas był opiekunczym aniołem swojej rodziny, jej protekcją, uczuł się szczególnie zadowolonym, znajdując tę osobliwą opiekę i troskliwość z kolei dla siebie; im bardziej słabł, tem więcej czuł się dzieckiem, a tajemniczość tej ręki dawała jej urok i siłę wzmacniającą go. Czemu? Nie umiałby sobie być zdać sprawy z tego. Dostyc, że tak było... Dni jego stały się pełniejsze... Chwytał się na całogodzinnem szukaniu klucza do tej zagadki.

Wieczorami i o świcie nieraz rozglądał się wokoło siebie, zagłębiał oczy w gęstwinę ogrodu i za mur je przerzucał, szukając wszędzie śladu, tropu, odpowiedzi. On, — tak zamknięty dotąd i nienawidzący innych ludzi prócz wiernego grooma, innej ulicy oprócz topolowej alei, hazardował się teraz na przechadzki drogą ku wsi, obsadzoną akacją i jaśminami, zaczepiał dzieci i łagodną twarzą przywiązywał je do siebie, a podarunkami w pamięć ich się wbijał. Czasami nawet, gdy zobaczył jaką smukłą,

ciemną, okoliczną dziewczynę, wzruszał się mimowolnie i mierzył ją przechodząc bystrym wzrokiem. Dla czego zdawało mu się, że ręka tajemnicza musi należeć do kobiety? Dla czego? Nie wiedział. Tak mu się zdawało.

Wyobraźnia jego już pracowała. Nieraz w bezsenne noce myriady wizyj oskrzydłych ulatywały nad jego głową, a wszystkie zbierały się i zlewały w niejasne jeszcze ale już olśniewające widmo. Wszystkie skarby jego duszy, wszystkie uroki genialnego, wykształconego umysłu farbami mu były. Pewnym był, że ta kobieta musi być piękną. Bo pewnym już był teraz, że to kobieta. Która kobieta jest najpiękniejszą? Ta, której nie znamy. Otóż tej on nie znał: była więc nietylko piękną, ale najpiękniejszą dla niego. Stan jej, strój, narodowość, cóż go obchodziły! Czarujące takie widma najsilniej realizują pojęcie równości... Że była młodą, nie ulegało wątpliwości. Raz zdawało mu się, że już jest na tropie... Niedaleko muru na ścieżce spostrzegł stopę. Pewny był, że to jej stopa. Z badania wyniósł to przekonanie, że chodzi boso. Cóż go to obchodziło, kiedy noga była małeńka, dziecięca prawie!...

Na takich fundamentach, z szaloną szybkością gnomów i koboldów ballad niemieckich, umysł jego począł budować olśniewający gmach szczęścia... widział już tę postać tajemniczą... planował z nią jutro... i drugie jutro jeszcze... i jeszcze jedno jutro. O cudo! począł przywiązywać się do życia i spodziewać!... Kochać!...

Że nie wiedział o tem, to pewna. Byłby się nawet gorzko rozśmiał, gdyby mu kto tę myśl podsunął. On kochać!... on, który tyle serca zmarnował i tak srogo zato zapłacił... Zostałaż mu choćby jedna gałązka oliwna z potopu jego boleści... Niestety!... Zdawało mu się, że umarł w nim i zastygł ten cudowny i niepowrotny — wedle niego — zmysł miłości! Mylił się z dobrą wiarą.

Jak padalec z baśni, serce rozcięte zrasta się i ożywia; jak chleb ewanueliczny niesłychanie się mnoży: wystarczy na 5000 ubogich i jeszcze kosz okrucich znajduje się dla ptaków niebieskich.. Im bardziej ranne serce, tem łatwiej miłość przyjmie się na nim: jak nacięty pień tem żywiej nowy szczerp sobie przyswoi i z nim się zrośnie.

Hrabia kochał.

Zapomniane, zagłuchłe dla niego melodye wokoło się budziły; czarodziejska przyzma stawała znów przed jego oczyma; świat ubierał się w kolory jego wyobraźni, jak rycerz w barwę swojej kochanki. Miał kwiat paproci przy sobie: niewidzialne dla innych rzeczy jemu się odsłaniały... widział miłość wszędzie: w powietrzu, na ziemi, w gwiazdach; miłością oddychał, pił ją, dotykał jej... Zdawało mu się, że ona jest przy nim, po za nim, koło niego; a ona w nim była...

Kochał więc!

Kogo?

Widziało jakieś, marę wyobraźni?! Gotów by się był śmiać z tego głośno...

A jednak mimo niego ta miłość wybuchała — mówiła, promieniała z niego.

Z hardego i dzikiego, pokrytego na zbolałem sercu korą chłodu i dumy pozornej, stał się ufny, miękki, łatwy z ludźmi, przyjacielski, radosny prawie. Zauważyli to wszyscy mieszkańcy willi i sąsiedzi, i wnet rozkochali się w milordzie... Zauważył to Wiliam, i serce mu roztopiało się z radości... Zkąd ta zmiana, nie umieli sobie zdać sprawy; widzieli jednak oczwście, że inną duszę dostał ten człowiek i — co jawniejsze jeszcze dla nich było a cudowne, — że ciałem krzepnie i podnosi się, że zmartwychwstaje iście.

Hrabia czuł to sam do pewnego stopnia w sobie... Siły jego rosły, młodzieńcza jakaś gorętsza, ale spokojniejsza zarazem krew płynęła w jego żyłach; dobroczynne ciepło napełniało całą jego istotę. Senność, gorączka, i dreszcze, jak zły sen o świcie, odleciały.

Jednakże razem z tym wzrostem sił czuł także, że jakaś potężna żądza w nim się budzi.

To, co dotychczas było widmem, zjawiskiem, domagało się od niego wielkim głosem... ciała...

Miłość przechodziła w drugą fazę.

Już mu nie wystarczały czaty w oknie i przechadzki.

Gryzący i słodki razem jad téj tajemnicy przenikał go... W każdym bukicie fiołków przychodziły nowe szepoty i szmery zdradzieckie... Nikomu się jednak nie chciał zwierzyć. Już teraz zdawałoby mu się profanacją, trzecią do tej komunii przypuścić osobę... Zaczynał być zazdrośny. W powozie i piechotą zbiegał całą okolicę... Badał jak inkwizytor okiem dziewczęta. Jedne się przestraszały; drugie odpowiadały mu wyzwaniem oka na zapytanie i śmiechem o białych zębach...

Tak minęło dwa tygodnie. Jakoś wieczorem w niedzielę czuł się znużony i niespokojny. Miłości miał daleko więcej, a nadziei coraz mniej... Zaczynał się dręczyć... Tego dnia nie dostał jeszcze zwyczajnego podarku i czuł brak jakiś i pustkę niezmierną. Coraz większy niepokój go opanowywał. Wreszcie nie mogąc wytrwać, zaprządź kazał Wiliamowi i puścić konie prosto przed siebie bez celu.

Jechał nad samém Arno... Ubogie chaty rybackie jak jaskółki do dachu, do skał nadbrzeżnych się poczepiały. Wychodził z nich dym gęsty i głosy gospodyń. Arno kurzyło się od mgieł wieczornych, jak spocony rumak po długim biegu... Smukłe czaple z krzykiem ulatywały nad wodą. W oddali cichy żagiel, jak rybitwa sunął po drzemiącej, nieruchomej fali. Białe obłoczki na niebie odbijały się w wodzie, i zdawało się przez chwilę, jakoby ta łódka sunęła po śniegu... Po brzegu biegały bosc dzieci,

albo po kolana brodząc w wodzie moczyły sieci zeschnię... Stare, brzydkie, rozczochrane kobiety, o zakasanych rękawach i krótkich spodnicach, prały bieliznę. Łoskot od kija nek rozchodził się daleko. Kilka młodych dziewczyn w tym, co stare, kostiumie, upiękuszonym przez młodość, wybierało ryby z niewodów... Przed chatą jedną mniejszą od innych, ale czystszej i na wzniesionem zbudowaną miejscu, siedział stary rybak i naprawiał sieci... O kilka kroków od niego wysoki, dorodny wyrostek płatał pień uparty i za każdym uderzeniem siekiery wołał: ha!!... kilka gęsi i kaczek kołysząc się i nawołując schodziło do wody.

Przed tą chatą zatrzymał się hrabia.

Chata ta należała do starego Pescara, i hrabia z nim byli już starzy znajomi. Nieraz, od czasu przechadzek swoich, hrabia wstępował do niego, ażeby zjeść owoców, lub pogadać.

I teraz uprzejmie go siedzącego przed chatą witając, wchodził do izby. W progu jednakże o mało nie potracił kogoś... Była to młoda dziewczyna, smukła brunetka o błękitnych wielkich oczach. Purpurowe, miłośnie wycięte, w kącikach nieco podniesione miała usta. Czarne włosy z granatowym prawie odcieniem, zaczesane gładko nad czołem, były jakby zmoczone. Krótka czerwona spodniczka odsłaniała bosc nogi... Szeroka, bez rękawów, przy ramionach sfałdowana koszula, nie kryła silnych, cudnie modelowanych rąk i szyi obnażonej. Twarz, szyja i ręce miały koloryt florenckiego bronzu: ciemny, połączany po wierzchu, jak gdyby pod delikatną powłoką ciała płynęły krew i słońce, — pomieszane razem.

Hrabia zdziwił się i cofnął... Zdawało mu się, że pochwycił u niej to samo poruszenie. Wydała mu się cudownie piękną, i mimowoli zadał sobie zapytanie: Czyby to była ona? Jednakże spojrzawszy raz drugi uważnie na dziewczynę, wyrzekł się tej myśli: wzrok jej był tak prosty i niezmierny, choć ognisty i przenikający, że, chyba znając w niej wielki talent dyssymulacji, posądzić by ją można... Ale czyż córka rybaka mogła mieć ten talent?... Widocznie nie była to ona. Zresztą przyznać trzeba, że wyobraźnia hrabiego cofała się i najczulej broniła przed nagłą i brutalną rzeczywistością... Mogąc dotknąć, wahała się i kryła w pełną delicyi niepewność swoje... I co za podobieństwo?... Hrabia jej nigdy nie widział. Nigdy jej tu nie widział...

— To córka wasza, Pescaro? — zapytał,

— Jedynaczka, po mojej drodze nieboszczce...

— Nigdy jej tu nie widział...

Obejrzał się, dziewczyna już znikła... usiadła w ciemnym kącie izby...

— Jest u swojej ciotki w Letri, ztąd o dwie mile; zrobiliśmy zamianę, ona odpowiada panu Bogu za tę synogarlicę, a ja za jej dorodnego synalka, ot tego... i wskazał ręką na chłopca...



JARMARK NA RUSI.

Chłopiec wszedł za gośćmi do izby, siadł na pieńku i złożywszy muskularne dłonie swoje na kolanach, ognistymi oczami wpatrywał się w siedzącą w kątku dziewczynę...

Hrabia pochwycił to spojrzenie...

Otóż przywidziało mi się — pomyślał sobie — oni się kochają widocznie, i z Letri nikt z fiołkami codziennie do Reni chodzić nie będzie... Stanowczo wyobraźnia moja figle mi płata!

Mysząc to, mimowoli się jednak zasmucił i odwrócił od dziewczyny, jakby żywiąc do niej urazę za to, że się omylił... Ach jakże teraz pragnął, żeby to Ona... była...

Źle zrobił, że się odwrócił, bo gdyby był patrzył jeszcze przez chwilę, ujrzałby był najcudowniejszą odmianę, jaka kiedykolwiek zaszła na twarzy ludzkiej.

Młoda dziewczyna, nie czując się obserwowaną, objęła jednym gorącym spojrzeniem jak uściskiem całą postać ojcowskiego gościa... Cała jej twarz zapatrzona, zaszuchana, — z rozdętymi lekko delikatnymi nozdrzami, ze złożonymi jak do pocałunku ustami — miała taki wyraz niesłychanej ekstazy i niezmiernego szczęścia, jaki odnajduje się niekiedy tylko na postaciach męczenników, wyegzaltowanych rokoszą męczarni dla Chrystusa i wizją cudowną przyszłej niebieskiej chwały...

Ile uczuć i wrażeń składało się na cudowną tęczę, która grała na twarzy młodej dziewczyny, policzyć trudno; jednakże przeminęły na niej z kolei duma z macierzyńską prawie połączona czułością, słodycz i zachwyt szczęśliwej kochanki, troskliwość siostry, anielska czystość uczucia, które poświęcić się potrafi, i pąsowy płomień zmysłów krwi gorącej...

To wszystko trwało błyskawiczną chwilę i weszło w głębiny oka, w zagięcia ust, pod długie rzęsy tej dziewczyny, — która znać miała ów dar dyssymulacyjny,

zaprzeczony jej przez hrabiego, — i zostawiło po sobie tylko jasną łunę na twarzy dziewczyny, jak ślad przejścia komety, jak znak dalekiego pożaru.

Po chwili i ta łuna zagasła....

Dziewczyna wyszła z izby.

Hrabia obejrzał się za nią, i coś dziwnie w nim się poruszyło. Czyżby przeczuł? Kto wie?... To pewna, że począł żywo rozpytywać o coś starego Pescara, jakby się chciał zagłuszyć...

Drugą osobą, która się obejrzała za dziewczyną, był czarnooki wyrostek... Twarz jego także, jakby się odmieniła i zmęźniała przez ową błyskawiczną chwilę... On widział wszystko...

— Ty go kochasz, Marietto?! — spytał, wychodząc i stając przed nią, z zaciśniętymi ustami i najeżonym prawie czarnym, lśniącym się włosem.

— Tak Cecco — odpowiedziała spokojnie — ale on mnie nie kocha, a z moich ust nigdy o méj miłości nie usłyszy. Wiesz, że przysięgła Madonnie...

Cecco zrobił gest groźby....

— Ten człowiek musi być święty dla ciebie, Cecco! — zawołała żywo dziewczyna... Przysięgnij mi na Madonnę, — dodała rozkazująco, podając mu duży srebrny medalionik...

Chłopiec zawahał się, ale spojrzawszy w oczy Marietty, podniósł uroczyście rękę i pocałował relikwią...

W tej chwili zatętniła koło nich kareta. Hrabia z afektacją spuścił kryształową szybę, i gniew osobliwy w nim się poruszył. Naraz wyciągnął rękę do taśmy i chciał pociągnąć... Co myślał? Sam nie wiedział... Chciał skoczyć... zapytać ją wprost, czuł się zdolnym przeniknąć tę dziewczynę... zbadać ją. Ale zawahał się i usiadł. Jedna chwila!... Byli tak blisko i tak razem daleko...

Czy się kiedy znowu spotkają i poznają ze sobą?!

(C. d. n.)

Przechadzki po wystawie powszechnej w Wiedniu w r. 1873.

przez A. S.

IV.

Zbliżamy się do środka wystawowej przestrzeni, pomijając bardzo wiele budowli, gdyż na opisanie ich nie starczyłoby miejsca, zresztą nie na wiele by się to przydało. Wokoło halli maszyn i obu hall rolniczych jest 45 osobnych pawilonów, niektóre z nich zamknięte, można jedynie przez drzwi i okna patrzeć, co tam jest w środku, na to, żeby się nie domyśleć wcale, są to bowiem specjalności, a nikogo nie ma, ktoby objaśnić raczył.

Jeden z tych tajemniczych budynków zwraca przecież

uwagę na siebie i wynagradza fatygę, gdyż przedstawia nam rzecz wcale nową, ogromnej użyteczności, a rozdawana broszura poucza o przedmiocie. Jest to nowy wynalazek, a raczej nowe zastosowanie znanych sił — p. Liernura pneumatyczna kanalizacja. Wiadomo, jaką klęską dla miast jest gromadzenie się nieczystości, niezdrowe z nich wyziewy, zatrucie powietrza i wody. Zwykłe kanały albo wywożenie beczkami nie usuwają wcale niedogodności i dużo kosztują, a nadto zwykle wszelkie nieczystości zostają

marnowane, podczas gdy stanowią one mogą dla każdego miasta źródło znacznych dochodów przez spożytkowanie ich na nawozy przez stosowne przerobienie. Przypominam sobie, że prof. Urbański pisał o tem, ile to Lwów rocznie traci przez marnowanie nieczystości.

Wszystkie te niedogodności usuwa ten nowy system kanalizacji. Wymaga on maszyny parowej, która z rur rozprowadzonych po mieście do kloak wypompowuje powietrze. Tym sposobem powstaje w nich próżnia, przez którą za otwarciem zasów usuwają się z kloak wszelkie nieczystości do rezerwoaru, urządzonego gdzieś za miastem, z kąd mogą być brane na użytek fabryki, pudrety itp. Czynność ta odbywa się ciągle, kolejno, ulica za ulicą, bez żadnego odoru, bez przeszkody dla ruchu, bez straty. Wynalazek ten nabyło wiedeńskie towarzystwo rolnicze; praktyczność jego została już w kilku miejscach wypróbowaną; kongres lekarski orzekł, że wynalazek ten może ochronić miasta od wszelkich epidemii. Na wystawie uwidoczony jest cały ten system, machina jest w ruchu i kloaki wystawowe oczyszczą. Można przypuszczać, że za jakie sto lat będą mogły same miasta zdobyć się na zaprowadzenie tej kanalizacji.

Oglądniemy teraz dwa pawilony rolnicze, wystawy dwóch wielkich posiadaczy, które dla nas wiele przedstawiają interesu. Wprawdzie nie wiele jest u nas własności olbrzymich, owszem od kilku lat własność się rozdrabnia, niemniej jednak przedstawienie produkcji gospodarstw, rozporządzających ogromnymi środkami, mogących wszystko, co się tylko da, uzyskać, jest dla nas pouczającym i niejedną praktyczną może nastreczyć uwagę. Urządzenie takich pawilonów, reprezentujących całe gospodarstwo wielkich dóbr, miało właśnie ten cel, żeby okazać produkcją całą w jednym obrazie, a uniknąć rozdrobnienia na grupy.

Pawilon księcia Koburg, który ma dobra w różnych państwach, między innymi na Węgrzech, jest to drewniany, zgrabny budynek z dziedzińcem, na którym jest wystawa leśna i nasion.

Wewnątrz znajdujemy wszelkiego gatunku zboża, ryż, nasiona cukrowych buraków, kolekcją tytoniów węgierskich, dalej wełnę jako jeden z głównych produktów. W wystawie leśnej są wszelkie gatunki drzewa w pniach i deskach, surowe wyroby drewniane, cała jedna ściana bardzo gustownie zapełniona płytami drzew, poprzetykanymi mchem. Przemysł drewniany przedstawiają: naczynia, drzewo na wozy, węgiel drewniany, gonty, fasonowe drzewo dla kolei.

Jako trzecia gałąź produkcji przedstawia się tu górnictwo, a mianowicie huty żelaza i walcownie, dla których urządzone jest pod ręczną fabryka narzędzi; widzimy tu rudy żelazne i wyroby gotowe.

Za ozdobę służą tej wystawie okazy dzikich zwierząt, mapy lasów, plany budynków itp.

Pawilon ten przedstawia zatem t. z. ekstenzywną produkcją rolniczą, która polega na zbożu i wełnie, a nie posunęła się jeszcze do przemysłu rolniczego, do przerobienia surowych płodów. Główną przyczyną tego stanu ma być oczywiście nie brak potrzebnej oświaty, nauki, ani kapitału, ale brak środków komunikacyjnych. Nie widzimy tu ani gorzelni, ani browarów, ani hodowli bydła rogatego itd. itd. — a nawet lasy wcale nie są wyzyskiwane racjonalnie. Dostyć przypomnieć, że prócz węgla i desek i gontów mogłyby być wszelkie odpadki spożytkowane, n. p. na ćwieczki do obuwia, na zapalki, a trociny etc. na wyrób papieru drzewowego, który to przemysł, jak wystawa okazuje, został już udoskonalony.

Zupełnie inny charakter nosi na sobie pawilon ks. Schwarzenbergów. Jest to przedstawienie nie tylko rolniczej i leśnej, nie tylko surowej, ale i wysoko rozwiniętej przemysłowej produkcji dóbr, obejmujących do 36 mil, a położonych głównie w Czechach.

Tu musimy przyznać, że to gospodarstwo, ta produkcja, prowadzona według organicznego umiejętnego planu wypełnia znakomicie tę przyrodzoną misję swoją, żeby służyć jako wskazówka i inicjatywa dla mniejszych gospodarstw, żeby rozwiązywać wszelkie nowe zagadnienia, doświadczać wszelkich metod, zakładać wielkie przedsiębiorstwa, otwierać dla inteligencji i pracy pole do działania w praktycznych kierunkach. Na czele więc tutaj należy wymienić działalność specjalnych rolniczo-chemicznych stacyj doświadczalnych, których badania służą za podstawę całemu systemowi gospodarczemu, które postępy umiejętności wprowadzają w praktykę, wynajdują nowe wartości i nowe źródła pracy i bogactwa, okazują łączność prywatnej, rozumnej pracy z ogólnym dobrobytem. 40000 ludzi ma stałe utrzymanie w tych dobrach. Ale bo też to jest wszechstronne gospodarstwo. Najpierw widzimy tu okazane w naturze wszelkie gatunki ziemi czeskiej, w pokładach, ziemi przesianej, chmielnej... torfu... itd. itd. Dalej idą bogactwa ludzkiej pracy. Na środku w otoczeniu roślin i kwiatów łowiectwo z wszystkim, co do tego należy, po bokach produkta leśne, górnicze i hutnicze, produkta rolnicze, hodowla bydła, produkta przemysłu, technicznego przerabiania płodów. Jest tu siano i słoma, rośliny mączne i pastewne, chmiel i parkiety z wszelkiego drzewa, beczki... znakomite wyroby zakładów przemysłowych: 23 browarów, 4 fabryk cukru i spirytusu, 1 olearni, 1 parowego a 4 wodnych młynów, 5 parowych a 18 wodnych tartaków, 2 fabryk den oddźwiękowych, 46 pieców do wypalania wapna i cegieł, 3 hut żelaznych, 4 walcowni, 3 kuźni, 1 huty do wyrobu stali besemerskiej. Obok wyrobów są plany budowli, amelioracyj, wy-

kazy owoców stacyj doświadczalnych, wykazy statystyczne produkcji, ogród i owoce, staw z rybami, nawet dwa bobry, może ostatnie w Europie, wyroby gliniane, sortymenta drzewa budulcowego, naczyń, materyałów na cement, marmurów itd. itd. Specjalny katalog tego pawilonu obejmuje 669 okazów. Wystawa ta ilustruje wybornie zasadę wypowiedzianą w tym katalogu: „Przedstawiamy tu ogólny obraz działalności we wszelkich kierunkach. Punktem ciężkości dla niej są płody surowe, których uprawa i wydobywanie służy dla przemysłu, dla popędu fabryk pod własnym zarządem, albo przez obcy kapitał. Własny zarząd porusza się w bardzo prostych kierunkach: zadaniem jego jest, dostarczać surowego płodu na targ w wartości przerobionej, podwyższonej, ale nie ubiega on się o ostateczne udoskonalenie, uszlachetnienie wyrobów, owszem obcym przedsiębiorcom, którzy się tem zajmować chcą, robi się wszelkie ułatwienia.“

Taka wystawa może zatem być pouczająca nierównie więcej, niż całe halle rolnicze, które następnie prześledzimy. Przychodzi tu na myśl ciągle stara gadka, jakie to bogactwa u nas w kraju odłogiem leżą, a łatwo już jest dzisiaj rozwinąć ruch w tej mierze, bo mamy już i komunikacye, i kredyt ułatwiony, i łatwość urządzeń przez krajowe fabryki. Budują się wprawdzie u nas tartaki,

które urządza fabryka Zieleniewskiego z Krakowa, taż sama fabryka postawiła już kilkanaście wodnych i parowych młynów, a świeżo otrzymała patent na najlepsze aparaty gorzelane, zaciernie, parniki itd.; a przecież jeszcze dotąd zamiast mąki wywozimy zboże, meble sprowadzamy z Wiednia, toż samo zapałki; spirytus sprowadzamy z Czech, jedno piwo produkujemy już w prawie dostatecznej ilości, lubo jeszcze nie tyle i nie takie, żeby do eksportu znacznego się kwalifikowało. Nie mówiąc więc już o trudniejszych fabrykacjach, powinni się gospodarze i spółki u nas wziąć: do budowy młynów poprawnych, tartaków, a obok nich do przerabiania drzewa na papier, na zapałki, do budowy olearni, do ulepszeń gorzelnii, do fabryk cukru, bo przeto surowe płody nasze pójdą ogromnie w górę co do wartości, gospodarze uzyskają kapitały na amelioracye i rozszerzenie produkcji surowej, kraj cały emancypować się będzie z zależności ekonomicznej, bo to ekonomiczne oswobodzenie się, ekonomiczna samodzielność jest podstawą i rękojmnią politycznej emancypacji — to jest szpichlerz na lata klęsk. Samo rolnictwo, bez przemysłu rolniczego, nietylko nas nie uratuje, ale owszem i ono upadać musi, i mienie będziemy tracić, i wszelkie wyzyskiwanie naszych bogactw cudzoziemcy zagarną.

ROCZNICE HISTORYCZNE. ROCZNICE HISTORYCZNE.

W r z e s i e ń.

Uplyniony miesiąc odznacza się w dziejach naszych narodowych kilkoma rocznicami tak wielkiej wagi i doniosłości, że pominąć je milczeniem poczytywalibyśmy sobie za grzech.

Oto pamięć wielkiego odnowiciela Polski, Władysława Łokietka, wskazuje nam na dzień 27 września 1331. W dniu tym przypadła bitwa pod Płowcami, w której Władysław Łokietek, dokonawszy wśród trudów i niebezpieczeństw zjednoczenia i ustalenia Polski, był zmuszony u schyłku wieku swego jeszcze raz ratować ojczyznę od najazdu Krzyżaków.

Najazd ten był skutkiem zdrady, skutkiem namowy możnego, a w dumie swojej obrażonego przez króla wojewody poznańskiego, Wincentego z Szamotuł. Król chcąc zaprawić następcę swego, Kazimierza Wielkiego, jeszcze za życia swojego do rządów, ustanowił go jako zwierzchnika nad Wielkopolską.

Niepotrzebowali niewdzięczni Krzyżacy wielkich namów do napadnięcia na tę krainę, której pierwszy przytułek i początki swojej potęgi zawdzięczali, bo godzili oni od samego początku na jej całość, trzeba im było okazać w tej chwili możność odniesienia wielkich korzyści.

Taką korzyść nastęczał im zdrajca, obiecując podać Wielkopolskę pod rządy krzyżackie.

Dwukrotnie napadali Krzyżacy na Wielkopolskę, pustoszyli i niszczyli, a byli w tak znacznej sile, że król ze swoim wojskiem przybywszy, ażeby uratować nieszczęsną krainę od pustoszcycieli, nie mógł się odważyć na stoczenie walnej bitwy, zwłaszcza gdy Szamotulski, który także rozporządzał niemałymi siłami, był po stronie Krzyżaków.

Roztropny i przezorny starzec użył więc innego sposobu. Dawne to już doświadczenie, że kto się raz dopuścił zdrady przeciw jednemu, tego nie trudno skłonić do zdrady przeciw drugiemu. Wysłał więc król tajemnie do Wincentego z Szamotuł posłów, obiecując mu przebaczenie i przywrócenie do łaski królewskiej, jeżeli odstąpi Krzyżaków. Środek ten skutkował. Szamotulski zniósł się tajemnie z królem, doradził stoczyć walną bitwę pomimo sił nierównych, bo liczył na to, że się Krzyżacy nie spodziewają zaczepki a nawet dzielnego oporu ze strony króla, wreszcie obiecał wśród bitwy przejść na stronę króla.

Podobnież radził on Krzyżakom do bitwy, przedstawiając im łatwe zwycięstwo. Na skutek tej namowy sta-

nęły oba wojska d. 27. września w bojowym szyku. Nie spodziewali się Krzyżacy tak dzielnego natarcia ze strony Polaków, jakiego rzeczywiście doznali, i to już osłabiło odwagę Krzyżaków; ale gdy Wincenty z Szamotuł, pamiętniejszy jednakże na głos ojczyzny niż na wątpliwe zdrady korzyści, dotrzymał słowa danego królowi, a zamiast Krzyżakom pomagać, uderzył ze swemi hufcami z tyłu na nich, wtedy nastąpiło między Krzyżakami zupełne zamieszanie, i Polacy odnieśli świetne zwycięstwo.

Dzień ten powinien być w dziejach polskich święcony jako święto narodowe i jako przykład do naśladowania dla przyszłych pokoleń.

Nazajutrz po bitwie napotkał król Łokietek, ośm-

dziesięcioletni bohater, objeżdżając pole bitwy, między trupami i rannymi jednego, który się z miejsca ruszyć nie mógł, bo z rozprutego tułowia wypływały jelita. Jednakże była w nim siła żywotna tak wielka, że męki te przeżył, a potęga umysłu tak dzielna, że bardziej utyskiwał na krzywdy, wyrządzone mu przez sąsiada na wiosce dzieciznej, niż na bole swoich ran.

Był to rycerz Floryan Szary, protoplasta tak możnego i wsławionego w Polsce domu Zamojskich. Floryan Szary doznał pociechy w starości, król Łokietek pozostawił mu państwo synowi, Kazimierzowi Wielkiemu, a Wincenty z Szamotuł, raz już zdradą splamiony, został przez własnych współziomków zarąbany.

J A R M A R K N A R U S I .

(Obacz rycinę na str. 304).

Komuż nie zdarzyło się choć raz w życiu widzieć jarmark w jakimkolwiek małym miasteczku? Rycina nasza przedstawia taki jarmark małomiasteczkowy na Rusi, ale odjąwszy tylko typowe właściwości ludu i odmienną fizyonomią okolicy, są takie jarmarki mniej więcej podobne do siebie we wszystkich okolicach dawnej Polski. Głównem ogniskiem takiego jarmarku jest zwyczajnie karczma, a duszą jego Icek albo Moszko. Arendarz pierwszy

ogląda i szacuje przypędzone na sprzedaż bydłę; on następcza kupca, u niego targ się odbywa, i on wreszcie po dobieciu targu, wzięwszy od obudwu stron faktornego, uracza je mohoryczem, który nieraz całą cenę kupna pochłania. Taką też scenę zapijania targu, jako najcharakterystyczniejszą z całego jarmarku, przedstawia załączona rycina.

Kronika literacka i artystyczna.

Lwów, 10. października.

(Odczyty na rzecz Stowarzyszenia pomocy naukowej na Szląsku. — Szkoła gry na organach w Towarzystwie muzycznym. — Rezultat konkursu na sztuki dla teatrów dziecięcych. — Ruch na polu dramatycznym. — Charakter repertoarza. — Stan sił artystycznych naszej sceny. — Górą komedia. — Co robi opera? — Setna rocznica firmy Pillerowskiej).

Mamy już i liście pożółkłe, i długie wieczory, i szkoły i całą tę obszerną sposobność do zajęcia umysłowego, jaką mieszkańcowi strefy umiarkowanej niosą ekwinokye wrześniowe. Rzecz teraz tylko, wyzyskać tę sposobność, lecz przedewszystkiem podobno: mieć umysł żądny zajęcia... Przedmiotu nie brak.

Oto n. p. otwiera się przed nami sala ratuszowa, sympatycznie odświeżona i odwietrzona przez lato, zaopatrzona w sztuczne wentylatory, jakby w istocie zachodziła obawa tłumnych w niej zebrań publiczności... Ale nie uprzedzajmy jej losów. Okaże się to zresztą już wkrótce, właśnie bowiem mamy dziś zapowiedziane odczyty na rzecz Stowarzyszenia pomocy naukowej na Szląsku. Odczyty te pod każdym względem mogą być próbą usposobienia publiczności lwowskiej: skłon-

ności jej do zajęcia umysłowego a zarazem uczuć narodowych. Wszak o Szląsk chodzi — o tę wiekową sierotkę Polski! Wykladać będą panie: Felicja Boberska (Wasilewska) i Wechslerowa, oraz panowie: Bolesław Limanowski, Czesław Pieniążek i Tadeusz Romanowicz. I to dodać należy, że ceny wejścia na te odczyty bardzo są przystępne, że przeto mniej zamożni tym razem nie mogą mieć wymówki.

Równo z innymi szkołami rozpoczęły się też kursa w Towarzystwie muzycznym, rozszerzone w tym roku szkołą gry na organach. W ostatnich czasach nie mieliśmy prawie organistówki, gdyż istniejąca obok miejskiej głównej szkoły normalnej w ratuszu popadła w stan równający się nieistnieniu. Towarzystwo muzyczne bez wątpienia też umiejętniej poprowadzić może naukę gry na organach, podczas gdy dawniejsza szkółka miejska kształciła jedynie młodzież oddającą się zawodowi nauczycielskiemu, co najwyżej do stopnia organisty wiejskiego. Wiadomo jednak, jaką rolę odgrywają organy w muzyce wielkiego stylu, i jak nam brak wirtuozów do tego instrumentu. Towarzystwo muzyczne wielkie istotnie zadanie ma w tym kierunku.

Konkurs na utwory dla teatrzyków dziecięcych już został rozstrzygnięty. Komisya, złożona z pp. Władysława Belzy, Bronisława Komorowskiego, Władysława Kozłowskiego, Bolesława Limanowskiego i Józefa Tretiaka przyznała nagrody dwu sztukom z pomiędzy dwunastu nadesłanych, mianowicie pierwszą w kwocie 75 zł. komedyjce w 2. aktach p. t. „Mały nauczyciel“; drugą w kwocie 50 zł. komedyjce w 1. akcie p. t. „Naszynnik babuni“. Po otwarciu kopert pokazało się, że autorami obu premiiowanych sztuk są — kobiety. Znak to charakterystyczny i wymowny dowód, że po stronie kobiet spoczywa punkt ciężkości wychowania narodowego. Autorką „Małego nauczyciela“ jest pani Marya Grabowska z Częstochowy, zaś „Naszynnika babuni“ pani Władysława Izdebska z Warszawy. Rezultat konkursu tego wogóle nazwać można bardzo pomyślnym; przekonał on nas, że mamy wielu zdolnych pracowników na polu piśmiennictwa dla młodocianego wieku, nawet bowiem kilka niepremiowanych utworów z liczby nadesłanych posiada zalety, wróżące dobrze o przyszłości autorów, obie zaś nagrodzone komedyjki są wzorowemi w swoim rodzaju. Szanowny dawca nagród konkursowych, p. Adam Bartoszewicz, zapowiedział na rok przyszły drugi konkurs na takie utwory.

Ruch na polu dramatycznym wogóle bardzo rozbudzony. Żeby tylko sceny nasze umiały poprzeć i wyzyskać na korzyść sztuki ojczystej prace dokonywane w tym kierunku. Nowa dyrekcya sceny lwowskiej przed innemi ma wysokie zadanie owo do spełnienia, najwięcej bowiem posiada środków i warunków po temu. Nie mamy też wcale dotąd powodu nie ufać jej pod tym względem, pragniemy tylko, aby wierną pozostała swemu programowi i w miarę możności układała repertuar ze sztuk oryginalnych. Wyrażając to przeświadczenie nie mamy zgola na myśli, aby dyrekcya systematycznie wykluczała z repertuaru sztuki cudzoziemskie; przeciwnie, niech uwzględni w pełnej mierze wzorowe sztuki obcych literatur dramatycznych, nie mamy nawet nic przeciw dawaniu od czasu do czasu „Tricoche et Cacoletów“ lub „Maupratów“ — byle się to nie działo z widoczną szkodą literatury własnej i ducha ojczystego. Dotychczasowych usiłowań dyrekcji zapoznawać nie można; prowizoryczny repertuar dotąd nie był wprawdzie świetnym, ale też nie gorszym przecie od tego, jakim nas darzyła poprzednia dyrekcya, stawiając n. p. kilkanaście razy prawie z kolei „Księżnę Gerolsztejn“ i farsy najzakazańsze. Otucha na przyszłość jest tem żywszą, że, jak wiemy, na repertuaru najbliższych tygodni postawiono sztuki takie, jak „Lilla Weneda“, „Faust“, „Koriolan“; dalej sztuki oryginalne nowe: „Krok“, „Diabeł wenecki“, „Athenion“ i „Król Don-Żuan“. „Faust“ będzie benefisowem przedstawieniem p. Ładnowskiego; w roli Małgosi pierwszy raz zobaczymy tego wieczora panią Henrykę Ładnowską, z domu Bendównę, była artystką teatru krakowskiego. „Koriolana“ wziął na benefis p. Woleński.

Dyrekcya usilnie starać się powinna o wzmocnienie personalu dramatu. Z liczby dwunastu czy trzynastu artystów, składających personal sceny naszej wogóle, większa połowa uzdolniona jest tak wyłącznie do komedyi, że w dramatach użyta być nie może. Niepodobna więc choćby z tego tylko względu wystawiać dramatów wyższego stylu, a nawet doradzać

należy dyrekcji, że gdyby nie udało się jej pozyskać sił odpowiednich, to niech raczej wcale nie daje takich utworów, czem się tylko zasłużyć może publiczności zarówno jak sztuce i autorom. Dobra wola tu nie wystarcza, gdyż artysta komik istoty swej zmienić nie może do tego stopnia, ażeby utrzymać się mógł na koturnie. Fenomenalnie tylko zdarzają się aktorowie w tragedyi zarówno znakomici jak w komedyi, n. p. Jan Królikowski. Jest to zresztą tylko znamię czasu, że nierównie więcej mamy talentów do komedyi niż do dramatu; usprawiedliwia ten objaw mianowicie współczesny kierunek życia społecznego i publicznego, poziomość i powierzchowność tego życia, na które w istocie najlepszym środkiem reakcyjnym może być dobra komedia. Panowie Dobrzański, Linkowski i Dębicki zrozumiałszymi są dla dzisiejszej publiczności, niż Ładnowski i Woleński, to wątpliwości nie ulega; zgoda więc na komedię — byle dobrą.

W składzie opery ciągle zmiany. Pani Jakowicka ustąpiła miejsca podobno pannie Meczenseffy. Bohaterskie tenory wyrabiają się... Występy p. Manuela Carriona kazały publiczności zapomnieć o innych niedostatkach. — Czy ma u nas opera racją bytu?

Miłą pamiątkę obchodził tutejszy świat literacki i księgarski w dniu 20. z. m., setną rocznicę założenia i otwarcia istniejącej po dziś dzień drukarni Pillerów (na Łyczakowie). Drukarnia ta wydała wiele pożytecznych książek w ciągu wiekowego istnienia swego; dziś drukuje kilka czasopism oraz „Bibliotekę powieści i romansów“ i zbiór powieści I. J. Kraszewskiego, a obecny właściciel jej, p. Kornel Piller, jest jednym z najpoważniejszych obywateli naszego miasta. Obchód odbył się bardzo serdecznie, uświetniony improwizacją Ujejskiego. Wydrukowany przy tej sposobności przez tutejszą Drukarnię Związkową wiersz pamiątkowy, obok pięknej treści otrzymał taką wykwinną stronę zewnętrzną, że mógłby przynieść zaszczyt najpierwszej drukarni lipskiej czy paryskiej. *B. K.*

Drezno w październiku 1873.

(Wspomnienie pośmiertne o hr. Eustachym Tyszkiewiczu. — Polska na wystawie wiedeńskiej. — Galicya i jej dziennikarstwo. — Nowości literackie. — Kalendarz dla ludu polskiego w Ameryce. — Obrazy społeczeństwa petersburskiego i broszura Dra Walckera.

Dopiero teraz w podróży doszła nas smutna wiadomość o zgonie hr. Eustachego Tyszkiewicza. Godzi mu się na grób rzucić wieniec uznania, choć może za życia różnie go rozumiano i sądzono. Był to mąż zasługi, równie jak brat jego Konstanty, zmarły przed kilku laty. Hrabia Eustachy założył w Wilnie ofiarą najdroższych zbiorów swoich owe archeologiczne Muzeum, które się na chwilę stało ogniskiem pracy, życia i prawdziwym narodowym Muzeum. Po r. 1863 wiecie już, co się z niem stało. Wszystko, co w niem mogło bratnią Polsce przeszłość przypominać, wywieziono, reszta przeszła na ręce takich ludzi, jak wasz galicyjski diejatiel, eksjusz Gołowacki. — Eustachy Tyszkiewicz wierzył, jak wielu innych, że są rzeczy, są wspomnienia, są publiczne własności, które poszanowane być powinny, iż pewne prawa moralne obowiązują nawet po stłumieniu rewolucyi, że nie godzi się karać pokoleń następnych za winy ojców, i odejmować im najdroż-

szej spuścizny. Znadto był szlachetnym i uczciwym, a za mało dzisiejsze doktryny o prawach państwowych pojmował, aby to, co się stało, przypuszczać.

Jako archeolog, jako pisarz i literat, ma też hr. Eustachy nie małe zasługi: wpływ jego na życie duchowe i umysłowe Litwy przed r. 1863 był bardzo wielki i pożyteczny. Wyrzucano mu garnięcie się zbyt pod skrzydła rządowe, i owo pamiętne Album, i wiarę w tych, co nam jej nigdy nie dochowali, zawsze jeszcze nam wiarołomstwem ciskając w oczy. Tyszkiewiczza zdaniem naszym wymawia przykład wielu i konieczność, którą czuł, przejścia z gorączkowego życia wiecznej opozycji i walki do jakiegoś znośnego modus vivendi. On i brat jego Konstanty kopali, szukali, zbierali, wydobywali pamiątki przeszłości, starali się je objaśniać, i dali popęd do kolekcjonowania i szanowania zabytków. Liczba pism wydanych przez Eustachego, poczynszy od badań nad mogiłami i podróży do Szwecyi aż do medalów polskich, do grobów Tyszkiewiczów i listu, który do nas wystosował... jest bardzo znaczną. Daleko większego znaczenia było społeczne i osobiste działanie Eustachego, o którym dziś wyrokować może być zawczasie. Pożegnajmy go tylko czcigł dla pocziwych chęci i długoletniego trudu... Był on jednym z tych, co się niczem zrazić nie dają. Po Murawiewie i zniszczeniu Muzeum, rozpoczął spokojnie pisać dalej, a że w Wilnie nawet pono po polsku drukować nie było wolno!!! — drukował w Petersburgu... Nie wiem, czy nie on pierwszy z Litwinów po r. 1864 miał odwagę pisać po polsku i publikować. Do tej epoki należy monografia Birż, bardzo zajmująca, świeższe medale polskie, groby rodziny Skuminów-Tyszkiewiczów itd. Pisma warszawskie dały jego biografie i wizerunki.

Wracając z wystawy wiedeńskiej, niepodobna o niej nie wspomnieć. Polska chluba jest na niej reprezentowaną. Dowiedzie tego najlepiej szacowne dzieło Agatona Gillera, którego pierwszy tom już sprzedawany na wystawie widziałem. Oprócz tego spis wystawców galicyjskich i okazów, przez nich danych na wystawę, wyszedł świeżo po niemiecku i po polsku. Jest on tem użyteczniejszy, że Galicya jak Czechy utopione są umyślnie w wystawie austriackiej. Nie chciało pono dozwolić, aby przemysł czeski, tak znakomity, okazał się w całym blasku, nie dano mu się nigdzie zjednoczyć i zbliżyć, rozrzucono go tak, jak galicyjskie produkta, w celu zwiększenia potęgi Austrii kosztem jej części składowych. Jak to jest maluczkiem i niepolitycznym, a jak dla Czech i Galicyi przykrem, nie potrzebujemy mówić o tem. Węgrzy tylko wystąpili osobno, ażeby dowieść, że ich kraj obfituje w surowy materyał, z którego przemysł dotąd niewiele umiał skorzystać. Ten centralizm na wystawie pozostawił po sobie przykre wspomnienie. Austriya, która tylekroć przerabiała swą politykę na coraz nowego kroju suknię, będzie jeszcze musiała nieudatną dzisiejszą odmienić. Lecz rzućmy ten przedmiot i niemiły i niewłaściwy dla naszej korespondencyi. Na nie szczęście, gdy się wspomni o Austrii i Galicyi, trudno co przyjemnego wynaleźć i czem się pocieszyć. Są zacni i gorliwi o dobro powszechne u nas ludzie, którzy się wyrzekli całkiem czytania dzienników waszych, aby uniknąć wrażeń, jakie one z sobą przynoszą. Ani się im można dziwować. Dziennikar-

stwo ma powołanie oświecania i nauczania czytelników, wykrywania prawdy, prostowania opinii — ale nie poszukiwania skandalów i staczania bojów osobistych, w których namiętności grają największą rolę. Z boleścią przychodzi patrzeć na upadek godności dziennikarskiej i zejście poważnych organów prasy do ulicznych waśni. Smutnyż to dowód stopnia cywilizacyi, na jakim kraj zostaje.... A! nie mówmy już o tem. Zastaliśmy na stoliku naszym, powracając z podróży, wiele nowości, z których nie możemy jeszcze zdać sprawy, bośmy ledwie na nie spojrzeć czas mieli. Między innemi widzimy A. Grozy misteryum pod tytułem „Twardowski“, które nam zwiastuje nowego nakładcę i nową drukarnię polską w Brodach (p. Rosenheima). Groza dawny to nasz i miły znajomy, pracownik i poeta, który się przypomina pismami tem szerszych rozmiarów. Powiemy o nim coś później.

Z Ameryki doszedł nas kalendarz dla ludu polskiego w Ameryce na rok 1873, nakładem i drukiem Jana Burzyńskiego w Union (Freneslin County Missouri). Mój Boże! cóż to za smutne zjawisko! Lud polski! w Ameryce! Spójrzmy na tę wygnankę, książeczkę z za morza. Szczególnie ciekawy w nim dział informacyjny, ile tam naszych, i jak się życie organizuje i rozwija — jak amerykański przybiera charakter. Z przerażeniem wyczytujemy tu, że blisko już 100000 Polaków zamieszkuje Amerykę, jeśli ta liczba przesadzoną nie jest. Znaczniejsze kolonie są w Missouri (Union), gdzie wyszedł ten kalendarz i pismko peryodyczne „Pielgrzym“; w Chicago w Illinois, gdzie Polacy mają wspaniałą kościół i wyższą szkołę polską, teatr polski, księgarnię i gwardyą własną (3000 dusz wogóle), w Michigan, w Pensylwanii, w Indiana, w Wisconsin, w Texas, Minessota, Ohio, Nowym-Yorku itd. Jakżeto wymowny obraz naszego dzisiejszego stanu, z którego inaczej już jak dezercyą wyjść nie umiemy.

Odwróćmy oczy, myśl i pamięć od tej klęski, niech nas pocieszy ta wystawa wiedeńska, na której spotykamy co chwila ślady użytecznej pracy polskiej pod cudzemi chorągwiami rozprószonej. Szczególniej znakomitemi są dzieła sztuki malarzy naszych i rzeźbiarzy; prąd ku sztuce wogóle jako przystani, jako pola osłoniętego od burzy, widoczny. Króluje tu Matejko, któremu rada nie rada krytyka palmę zwycięską podać musi. Za nim idą zdala narody inne. Ale w którymże dziale i grupie imion polskich nie ma!! Potrzebaż powtarzać, że najlepszą dziś polityką — praca i milczenie, że gdziekolwiek na ziemi, pod jakimkolwiek pozorem, z jakichkolwiek powodów i pozorów spotykamy walkę i waśń i targanie sił na wewnętrzny bój — musimy je ze zgrozą mianować niemal zdradą przeciw krajowi. W takich zajadłych, dyssolwujących rozbratach i zajadaniach się wzajemnych kończą narody na zagładę skazane. Wyrok Boży zsyła na nie oszalałych doktrynerów i fanatyków, którzy byt narodu gotowi są poświęcić dla formulek, lub co gorzej, dla własnego interesu.

Przebaczcie mi, że w tej korespondencyi żółé boleści wyściśniona nieustannie się dobywa. Tłumaczy mnie to, że patrzę na Galicyą i Poznańskie, samobójczą dobijające się dłonią. Widok to nie wesoły.

Zwrócę jeszcze uwagę waszą na jedną książeczkę, która żywe obudza zajęcie. Są to obrazy społeczeństwa petersbur-

skiego, mistrzowską skreślone ręką, sine ira et studio, przez nieznanego autora. Niektóre z nich ogłaszała wiedeńska Presse; wyszły one teraz w Lipsku w tomiku, którego pierwsze wydanie natychmiast rozchwyte zostało. Wszystkie niemal główne postacie, działające dziś na polu politycznym, w dziennikarstwie, są tu skreślone z wielką prawdą, trafnością i znajomością stosunków miejscowych. Aus der Petersburger Gesellschaft powinny być przetłumaczone na język polski; wiele się z niego nauczyć można. Obok broszury Dr. Walckera jestto jedno z pism, najlepiej nas obznajmujących z dzisiejszym stanem Rosyi, który dla nas obojętnym być nie może. Wałujew, Milutynowicz, ks. Gorczakow, Gł. Ignatjew, ministrowie oświecenia, dziennikarze z fotograficzną prawdą przedstawiają się nam w tych obrazach. Nie pojmujemy, dlaczego dzien-

niki wasze, o ile wiemy, dotąd nie korzystały z tak cennego materiału. Jeśli tłumaczenie dozwolonem nie jest, przynajmniej sprawozdanie obszerne byłoby obowiązkiem. Z broszury Dr. Walckera, zadawszy sobie nieco pracy, takżeby wiele można skorzystać.

Nie zawadzi tu przypomnieć choć słowem Muzeum w Rapperswyll, o którym pomyślnie dochodzą nas wieści. Wzrasta ono znacznie, a liczba zwiedzających je w tym roku tak urosła, że jednego dnia przeszło 300 osób wynosiła. Mnożą się dary, niezmordowana gorliwość hr. Platera zwycięża uprzedzenia i niechęci. Mówią nam, iż i przyszłość jego coraz w lepszym świetle się przedstawia.

J. I. KRASZEWSKI.

ZE ŚWIATA.

[Skuteczność kazania]. Ksiądz M., wikary przy jednym z kościołów w Lugdunie, był tak znakomitym kaznodzieją, że często wchodził na ambonę bez przygotowania, a jednak miewał porywające kazania. Pewnego razu, właśnie gdy miał zaczynać swoje kazanie, spostrzegł pomiędzy słuchaczami znaczną liczbę kobiet z niższych stanów. A ponieważ pomiędzy niemi rozszerzała się bardzo namiętność gry na loteryi, korzystał kaznodzieja z tej okoliczności, by przemówić przeciw temu straszliwemu nałogowi. „Nie myślicie teraz — mówił — o niczem innem, tylko by zrobić szczęście na loteryi; we dnie przemyśliwacie nad numerami, w nocy śnicie o nich. Wstawszy zrana biegnie gosposia do sąsiadki i opowiada z radością: „Kochana kumcio, wyobraźcie sobie, zeszlęj nocy śniły mi się dwa numera, 13 i 64, trzeba koniecznie je postawić.“ „Potem porzucają obie wszystko, biegną do pierwszej lepszej kolektury i tracą tam naraz wszystko, co oszczędziły przez cały tydzień. Ach! ileż to gospodyń rzuca w piekielną paszczę ślepego losu grosz, którego potrzebuje koniecznie do swego gospodarstwa; ileż to nieczułych matek marnuje pieniądze, przeznaczone na chleb dla ich nieszczęśliwych dzieci, które muszą usychać z głodu!“ W taki sposób przedstawiał dalej z zapalem haniebne skutki namiętności, która zniszczyła już spokojność i szczęście wielu zamożnych rodzin, i niejednego uczyniła już nawet złodziejem i mordercą. Wreszcie skończyło się nabożeństwo, i gdy kaznodzieja znużony tak natężającym kazaniem pełnem zapału i namaszczenia, ocierając pot ze skroni, wychodził z kościoła, przystąpiła do niego jedna z jego słuchaczek, skłoniła mu się nisko i rzekła bardzo grzecznie: „Raczej przebaczyć, księżu dobrodzieju, żem tak śmiała, ale chciałabym się dowiedzieć, czy owa kobieta nie wymieniła jeszcze trzeciego numeru, bo ja nie stawiam nigdy inaczej, tylko na terno.“

[Nowo odkryte wyspy] Mr. Moresby, kapitan okrętu „Bazyliszek“, odkrył niedawno u wybrzeża Nowej Gwinei (Australii) trzy nowe wyspy. Dziennik „Times“ donosi o tem odkryciu co następuje: „Bazyliszek“ opuścił Sidnej z końcem września, ażeby w cieśninie Torres polować na okręty wiozące niewolników. Złowiwszy cztery takie okręty i odesławszy tę zdobycz do Sidnej, postanowiono zbadać bliżej — nieznanę dotąd

jeszcze dokładnie wybrzeże Nowej Gwinei. Rezultat tego badania, odkrycie trzech nowych wysp, jest wiadome. Te wyspy znajdują się u wschodniego wybrzeża Nowej Gwinei, oddzielone od stałego lądu wąskimi a głębokimi kanałami, a nazwano je po imieniu trzech głównych oficerów Bazyliszka: Moresby, Haytes i Murilyan. Prócz tego odkryto dwa dobre porty, z których jeden, położony na zachód od Red Scar Head, nazwano Robert Hall-Sund, a drugi, znajdujący się na wschód od tego punktu, Port Moresby. Mieszkańcy tych wybrzeży mają być szczególniejszym sposobem bardzo uprzejmi i miłujący spokój. Kilku oficerów, którzy się zabłąkali w gęstwinie, wyprowadzali krajowcy na właściwą drogę uraczywszy ich przytem po królewsku. Zresztą nie widzieli krajowcy tamtejsi nigdy Białego, i nie znają użytku żelaza. Pomiedzy sobą mają się oni dopuszczać niekiedy ludożerstwa, ale względem Białych nie okazali najmniejszej chęci do tego. W Australii zrobiła wiadomość o tem odkryciu wielkie wrażenie, zaczęto natychmiast uzbrajać okręty dla wyzyskania obfitującej prawdopodobnie w złoto okolicy portu Moresby, i być może, że wkrótce zarozi się wybrzeże nowej Gwinei awanturnikami chciwymi złota, i że okręt wojenny będzie musiał ochraniać krajowców od ich napaści. Powszechnie objawia się życzenie, ażeby Anglia zajęła zawczasu te wyspy w posiadanie, nim się wmisczą do tego Francuzi i Amerykanie.

[Wyścigi listonoszów]. Na początku września r. b. odbyły się w Londynie wyścigi, w których brało udział do 30 listonoszów. W długiej alei ogrodów woolwichskich pozawieszano na drzewach kilkadziesiąt skrzynek listowych, do których potrzeba było powrzucać pewną ilość listów. Pierwszą nagrodę otrzymał niejaki Bradfield, ponieważ nietylko najprędzej porozdzielał swoje listy, ale nadto odznaczył się wielką przytomnością umysłu. Na jednym drzewie bowiem był wprowadzić numer, ale skrzynki nie było. Bradfield jednak, nie zmieszany tem wcale, oznaczył szybko adresowane tam listy jako „niepodobne do doręczenia“, gdy tymczasem inni uczestnicy wyścigów nie umieli sobie dać rady z swemi listami.

[Ostatni potomek Arpadów.] Z końcem sierpnia r. b. zesła z tego świata w Paryżu, w bardzo lichem pomieszkaniu przy ulicy Vaugirard, sławna niegdyś osobitość, księżę

Crouy-Chanel, który, jak wiadomo, mienił się prawym dziedzicem korony węgierskiej i Księstwa Modeńskiego. Franciszek Klau-
dyusz August Crouy-Chanel, książę węgierski, jak się sam
nazywał, urodził się dnia 31. grudnia 1793 w Duisburgu
z emigrantów, liczył zatem 80ty rok życia, a wyprowadzał
swoje drzewo genealogiczne aż od króla węgierskiego Arpada.
Podczas konszultatu powrócił do Francji i chodził do szkół.
Po roku 1816 wstąpił do gwardyi przybocznej Ludwika XVIII,
w rok potem wziął dymisyą, wyjechał w podróż i prowadził
życie bardzo awanturnicze. W r. 1821 brał udział w powstaniu
greckiem, a w r. 1830 zawiązał stosunek z Ludwikiem Bona-

partem, i należał do zamachów jego w Strasburgu i Boulogne.
Znane są całemu światu rozmaite dyplomatyczne i sądowe kroki,
którymi dobijał się praw swoich do tronu węgierskiego i mo-
deńskiego. Papież Pius IX. przyjmował go bardzo życzliwie
na swoim dworze i mianował w r. 1848 komturem orderu
Grzegorza Wielkiego. W ostatnich czasach żył książę w naj-
skromniejszych stosunkach, zajmując z żoną pomieszkanie za
400 franków. Pochowano go stosownie do ostatniej jego woli —
oświadczył bowiem, że potomek królów węgierskich nie powi-
nien być przedmiotem ciekawości publicznej — całkiem skro-
mnie i cicho na cmentarzu Montparnasse.

Nowe książki.

Trzy miesiące. Ze znalezionej rękopisu wydał
Józef Narzyski. Poznań, nakładem Tygodnika
Wielkopolskiego 1873.

Talent powieściopisarski Narzyskiego, który tak
świetnie objawił się w „Ojczyźnie“, potrafił i w tej drob-
nostce o stu stronicach wyraziście zabłysnąć. Główny
przymiot powieści dla większości czytelników — interes,
jest w tym utworze z niezmierną umiejętnością stopnio-
wany i utrzymany bez przerwy aż do końca. Z tematu,
choć wielce oryginalnego ale zarazem i prostego bardzo,
potrafił autor wysnuć cały szereg wzruszających sytuacji;
napełnił tę maleńką książeczkę skarbnicami uczucia i arty-
zmu, które chwilami wzniosły poemat z niej czynią.
A jednak praca ta wieje na czytelnika przerażającym
smutkiem. Czemu? Człowiek skazany na śmierć pewną,
nieubłaganą, nieuniknioną, zbliżającą się powoli, — na
którego zmawiają się wszystkie uroki rodziny, natury,
wreszcie miłość sama nadchodząca ze swoim Edenem,
ażebymu życie drogiem uczynić — a żadnej nadziei...
Oto jój przedmiot. Na szczęście odebranie sobie tego
życia od bohatera zależy, i chociaż honor mu to nakazuje,
choć strasznej tej ofiary dopełnia, — autor uszczęśliwia
czytelnika pomyslnem zakończeniem. Ale kto wie, w ja-
kich chwilach ta książka była pisana, kto wie, że Narzym-
ski kreślił ją szarpiając się w pełni sił i sławy z nieubła-
ganą śmiercią, — ten znajdzie w niej straszliwe odbicie
tych wszystkich walk, refleksyj i uczuć, które targaly jego
duszę i niestety — okropnieją się zakończyły!

Na Ukrainie. Tragedya w 5. aktach z prologiem
i epilogiem. Poznań. Nakładem Żupańskiego 1873.

Rozbiór szczegółowy i odpowiadający wyjątkowej
wartości tego utworu, przechodzi ramy naszego działu. Tu
zanotować tylko możemy, że oddawna nie spotkaliśmy się
z pracą tak wysoką w nastroju i tak artystyczną w obro-
bieniu. Pod względem scenicznym przedstawia ona jednak
mnóstwo wad, i temu zapewne przypisać potrzeba, że
nie otrzymała na zeszłorocznym konkursie krakowskim na-
grody, która ze wszelkich innych względów niezaprzecz-
nie jej się należała. Jest to pierwsza poezyi pełna pieśń
o ostatniem powstaniu — dramat, w którym widać wszy-
stkie zawiązki straszliwej a tak niedawno przeżytej kata-
strofy, i wszystkie jej żywioły: wszystkie winy i cnoty,
hańby i glorie, zwycięstwa i upadki tej epoki, — zakoń-
czony harmonijnym akordem. Jak sam autor powiada we
wstępie, jest w tej książce dla grobów, szarpanych i dep-
tanych tyle od dziesięciu lat, jak usypane zostały: „słowo
sprawiedliwości i pokoju“, a dla żywych „słowo nadziei.“

Na koszu. Fraszka dramatyczna w 2 aktach —
oryginalnie wierszem napisał Tomasz Bończa. Warszawa.
Główny skład u Gebethnera i Wolffa. 1873.

Jak sam tytuł już wskazuje, jest to drobnostka,
w formie dramatycznej, bez żadnych pretensyj napisana,
a traktująca wieczystą historją — żenienia się dla po-
sagu. Przymiotów szczególnych nie posiada ona bynaj-
mniej, ani scenicznego nawet; ale co jest rzeczą oso-
bliwą — to wyborny, pełen naturalnego toku i werwy
wiersz, jakby ulany do komedyi i wróżący autorowi przy-
szłość na tem polu, skoro nie zechce poprzestać na tak
banalnych przedmiotach, jak wybrany do tej próbki.

W. O.

Poczta »Strzechy.«

Pani J. S. w Drohobyczy: Przecież ogłosiliśmy w programie, że bieżący rocznik „Strzechy“ będzie się składać z 17stu zeszytów. Co się zaś
tyczy premii, można ją otrzymać z ostatnim zeszytem tylko za dopłatą 1 zł.

Pani G. M. w Krakowie: Wiersz: „W imionniku Przyjaciółki“ jest za słaby i nie może być umieszczony.